Nr 16 (1579). Warszawa, 22 kwietnia 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja zostały przeniesione do gmachu Tow. techników, ul. WŁODZIMIERSKA Nr. 5.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Rzym, Byzancjum i Polska.

Najwyższy już czas, aby opinja polska nauczyła się odróżniać narodowość od religji, prozelickie knowania Watykanu od postulatów sprawy polskiej. Wbrew tym, co w religji upatrują najdonioślejszą więź narodową, twierdziliśmy zawsze, że tylko świecka, demokratyczna kultura mas stwarza silne poczucie narodowe, urągające wszelkim zakusom denacjonalizacji.

Religja nie jest surogatem narodu — nawet w najlepszym razie, nawet wówczas, gdy tworzy odrębny Kościół narodowy, o własnej fizjonomji i swojskiej hierarchji — bo wyznanie zmieniać można dowolną ilość razy, a z każdego Kościoła wystąpić; nadto przynależność kościelna nie pociąga za sobą świadomej i czynnej wiary, będącej udziałem niewielu osobników o specjalnie mistycznych upodobaniach, do których zresztą obcy prozelityzm łatwo znajduje drogę.

Natomiast świeckie poczucie narodowe posiada moc i trwałość kamiennej opoki, wrośniętej w sam rdzeń duszy i wolnej od zewnętrznych impulsów i wpływów.

Tym jaskrawsze są te różnice, gdy mamy do czynienia nie z jakimś kościołem narodowym, lecz z katolicyzmem, którego sama nazwa oznacza powszechność *recte* kosmopolityzm.

Kościół katolicki jest międzynarodówką o rozrzuconych po świecie filjach, związanych między sobą polityką realnych swoich korzyści, która to polityka ogniskuje się w Rzymie i lekce sobie waży polski interes narodowy.

Polityka rzymska nigdy nie wychodziła Polsce na korzyść, a dziś bardziej niż kiedykolwiek jest dla nas niebezpieczną i zgubną. Rzym szkodzi nam na wszelki sposób; szkodzi nam i wówczas, gdy się układa z możnymi tego świata, jak w Niemczech, i wówczas, gdy z nimi zadziera, jak w Rosji, gdzie teraz pono jego wysłańcy święcą tryumfy, które mogą się nam dotkliwie dać we znaki.

Istotnie. Watykan zdołał podobno [1]) skłonić potężną sektę staroobrzędowców rosyjskich do formalnej ze sobą unji; można przypuszczać, że podrażniony tym faktem kler prawosławny, idąc utartym od czasów Possewina szlakiem, po linji zresztą najmniejszego oporu, zechce wywrzeć bezwzględny i mściwy odwet na Polakach, co zapoczątkowano już w Moskwie w stosunku do tamtejszej kolonji polskiej, zaś wytrwała kampanja *Now. Wrem.* rokuje dalszy ciąg represji.

Nie tu jednak leży źródło możliwych na przyszłość niebezpieczeństw; kryje się ono w tym właśnie, co rzymscy gorliwcy uważają za fakt wielce radosny.

Oto wielomiljonowy zastęp katolików rosyjskich, stopionych z ludnością polską w jednym wyznaniowym tyglu stworzy tę fatalną mieszaninę, która w ręku władz pruskich, w podobnych zupełnie warunkach, stała się miksturą, groźną dla nas i zabójczą, bo *szerzyć pozwala germanizację przez Kościół.* Straszne niebezpieczeństwo spostrzegli po niewczasie nawet owi przysięgli rzecznicy Kościoła, nawet zachowawcy i endecy, i dziś biją rozgłośnie na alarm.

To samo tu, w Królestwie, na Litwie i Rusi można przewidzieć z góry i wskazać zawczasu, zwłaszcza, że nie brak znamiennych w tej mierze poszlak

[1]) Por.: „Z prasy polskiej".

i symptomatów choćby w postaci niedawnej sprawy Storożew—Wierciński.

Wszak Rosja — jedyny to w Europie wyjątek — jest państwem nawskroś wyznaniowym: normy oficjalne nie znają tu narodowości, tylko religję; ludzie tu dzielą się np. na prawosławnych i „katolików" t. j. Polaków. Gdy zaś w ostatnich latach obok katolików polskich powstały rzesze rosyjskich katolików — wytwarza się między nimi intymna wewnętrzna więź, zacierając wiele różnic i kładąc wygodny pomost, po którym raźnymi kroki pójść może — jużcić nie polonizacja Rosjan, lecz rusyfikacja Polaków.

Zważmy, że istniejący dziś konkordat daje państwu wielkie prerogatywy w nominacjach na wszystkie stopnie hierarchji; rzecz prosta, że ten przywilej wyzyskany będzie na korzyść katolików rosyjskich; i oto zamiast biskupów obojętnych pod względem narodowym, rychło pozyskać możemy takich, co będą nam obcymi i wrogami.

Zważmy też, że interes katolicki, przez przysięgłych klerykałów stawiany wyżej od interesów narodowych, czynność tę znakomicie ułatwi, boć nie ulega kwestji, że pomiędzy polskim i rosyjskim katolikiem łatwo zadzierzga się czuły węzeł pobratymstwa idei, gdy pomiędzy polskim katolikiem a różnowiercą lub ateistą — Polakiem leży otchłań uprzedzeń i nienawiści.

Uprzytomnijmy sobie wreszcie owo niejasne, wątpliwe i chwiejne poczucie narodowe świeckie w ciemnych masach parafian na kresach wschodnich, gdzie kościół panuje niepodzielnie i gdzie księża jutro rekrutować się mogą z innych niż dotychczas, dalekich stron — a niebezpieczeństwo ujawni się nam w całej swej grozie.

I otóż, w poczuciu tego niebezpieczeństwa, musimy głośno i wyraźnie powtórzyć słowa, które przed dwoma laty rzucił Aleksander Świętochowski w dyskusji nad wyodrębnieniem Chełmszczyzny:

„Opieranie sprawy polskiej zarówno w jej całości, jak częściach, na gruncie religijnym — należy do najfatalniejszych błędów naszej polityki".

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

D. 14 kwietnia rosyjski kryzys konstytucyjny stanął, jak się zdaje, u szczytu.

Wobec przepełnionej sali Rady Państwa, wśród powszechnego napięcia i złowróżbnego milczenia, p. Stołypin wygłosił odpowiedź na wniesioną przed kilku dniami interpelację w sprawie dowolnego zastosowania § 87 ustaw zasadniczych. Snadź nikogo premier nie przekonał, bowiem Izba większością 99 głosów przeciw 53 uznała wyjaśnienia rządu za niedostateczne i przeszła nad nimi do porządku dziennego.

Wynik głosowania wywarł olbrzymie wrażenie. Wprawdzie można go było przewidzieć i narazie nie pociągnie za sobą ten stan rzeczy żadnych bezpośrednich następstw, ponieważ większość opozycyjna nie dosięgła $^2/_3$ ogólnej liczby głosów, co musiałoby spowodować doraźną interwencję władzy zwierzchniej; tym nie mniej jednak rząd w osobie p. Stołypina poniósł dotkliwą klęskę w moralnym i formalnym znaczeniu.

Położenie premjera formalnie jest bez wyjścia. Gdyby zechciał, swoim zwyczajem, rozciąć węzeł gordyjski, w który sam się zaplątał, heroicznym jakimś giestem — należałoby oczekiwać rozwiązania obu Izb przed 27 maja, w tym bowiem czasie upływa termin dwumiesięczny, obowiązujący rząd do złożenia w Dumie prawa o samorządzie ziemskim na kresach zachodnich. Okazuje się jednak, że premier nie zamierza uciec się do tego środka, ponieważ w jego przemowie znalazł się następujący znamienny ustęp:

„Art. 87 nie daje rządowi prawa i możności wydawania praw bez wszelkiej kontroli instytucji prawodawczych. Każde zarządzenie, przedsięwzięte w drodze art. 87 musi być w ciągu dwóch miesięcy złożone pod rozpoznanie Dumy i następnie przejść cały *cykl naszej prawodawczej procedury*. Mówią, ze obawiają się, by takiego rodzaju zarządzenia nie były przedsiębrane *w czasie przerwy letniej*. Wszakże rząd musiałby być już zanadto *lekkomyślnym* i nieostrożnym, by sztucznie wytwarzać konflikty, wprowadzając w życie kraju takie zarządzenia, które są *nie do przyjęcia dla Izb*, i które muszą być po pewnym czasie obalone".

Być może, że tu właśnie okazał się rząd, „zanadto lekkomyślnym i nieostrożnym" składając tego rodzaju deklarację; bądź co bądź mosty są już spalone. W terminie dwumiesięcznym kwestja samorządu ziemskiego na Rusi stanie znów na porządku dziennym i znów, jak przypuszczać można, projekt rządowy spotka się w Radzie Państwa z bezwzględną opozycją, o ile przedtym jeszcze nie pogrzebie go Izba niższa. W każdym razie samorząd kurjalny w obecnej postaci mało jest już prawdopodobny, a w każdej innej formie stać się może pożądanym dla kraju nabytkiem kulturalnym.

Sprawa ta ma niezmierną dla nas wagę dlatego przedewszystkim, że wraz z projektem kurjalnego samorządu załamuje sią oto, chwieje się i trzeszczy cały stołypinowski system rządowy, zwracający przeciw Polakom opancerzoną pięść praw wyjątkowych i bezprawnej „racji stanu".

Że tak jest, że obecny kurs nacjonalistyczny polega w pierwszym rzędzie na gnębieniu kultury polskiej — stwierdził sam p. Stołypin z należnym naciskiem w trzeciej części swojej przemowy, gdzie wręcz powiada:

„Nie mówię o istocie naszej różnorodnności poglądów, mówię tylko o skutkach głosowania panów. Zawsze mówię otwarcie, że kulturę polską uważam za cenny wkład do ogólnej skarbnicy postępów ludzkości. Ale wiem, że ta kultura na Zachodzie przez wieki całe prowadziła walkę z inną kultnrą, bliższą mi i droższą — z kulturą rosyjską. Ja wiem, że koniec marzenia o ziemstwie zachodnim — to dzwon żałobny, wieszczący, że Petersburg wyrzeka się, w chwili niebezpieczeństwa, poparcia tych, którzy, siłą tradycji spadkowych, pragnęli i pragną, aby Rosja zachodnia pozostała rosyjską".

Jestto, w kilku słowach, skondensowany wyciąg owej teorji „egoizmu", którą nas do znudzenia częstowali wodzowie t. zw. narodowej demokracji. „Egoizm" ten ma to do siebie, że zawsze zwykł korzyć się przed silnymi, a postponować słabych, w obecnym zaś układzie stosunków boleśnie daje się nam we znaki, zarówno wówczas, kiedy go sami stosujemy np. do Rusinów w Galicji, jak i wówczas, kiedy go inni do nas stosują t. j. zawsze.

Pp. Balicki i Dmowski zyskali byli w p. Stołypinie pojętnego i gorliwego ucznia, a opinia polska teraz dopiero powoli postrzegać zaczyna, że to, co brano za „myśli nowoczesnego Polaka" jest w gruncie rzeczy myślą nowoczesnego kresowego Rosjanina, z którym nawet biurokraci starej daty solidaryzować się nie chcą, twierdząc że stanowczo w polityce kresowej „przesolił"... A przecież pp. Durnowo i Trepow, Naryszkin i Olsufiew potępiają system kurjalny by-

najmniej nie dlatego, by żywili do nas jakoweś nagłe sympatje, lecz poprostu dlatego, że inaczej — i powiedzmy: właściwiej — od „konstytucyjnego” premjera pojmują zadania państwowości nowoczesnej.

Literatura polska zagranicą.

(Luźne uwagi).

Dzieła pisarzy polskich znane są niestety niezmiernie mało europejskim narodom. Poza Sienkiewiczem, który przez kilka lat z rzędu był najpoczytniejszym autorem na ziemi, i poza Przybyszewskim, który jak błyskawica zajaśniał na horyzoncie młodej literatury niemieckiej, żaden polski pisarz nie zdołał zwrócić na siebie trwalszej uwagi cudzoziemców. Oprócz Sienkiewicza i Przybyszewskiego posiadamy przecież liczny zastęp twórców, którzy potęgą swoich talentów zrobiliby niewątpliwie zaszczyt każdej literaturze świata. Czemuż więc przypisać brak sławy naszej literatury pięknej zagranicą?

Może ościenne narody zapominają o naszym istnieniu kulturalnym, ponieważ nie przypominamy im się bytem politycznym? Jako poddanych rosyjskich utożsamiają nas z narodem rosyjskim i zajmują się — literaturą rosyjską. Andrejew, Gorkij, Arcybaszew, [1]) Kuprin... znani są we Francji, w Belgji, w Niemczech, w Szwajcarji, we Włoszech, w Anglji, Szwecji, Norwegji... ponieważ Rosja znana jest w tych państwach jako państwo. O nas, jako o państwie, dawno słuch zaginął, więc i o żywotność naszej myśli, więc i o dzieła naszego ducha nikt się nie dopytuje. Wszakże tę żywotność naszą, ukrytą dla sąsiadów w skorupie politycznego naszego niebytu, winniśmy się starać w patryotycznym poczuciu uczynić powszechnie wiadomą. Tak mi się przynajmniej zdaje.

W roku 1825 w *Dzienniku Warszawskim* wyraził podobną myśl Mochnacki w artykule p. t. „Kilka myśli o wpływie tłumaczeń z obcych języków na literaturę polską”. Wykazawszy — problematycznie zresztą — zgubny wpływ tłumaczeń z obcych języków na polski, w dalszym toku mówi (i tutaj niepodobna nie przyznać mu słuszności), iż... „jest inny rodzaj tłumaczeń, mniej szkodliwy. Literatura polska, tak mało znana cudzoziemcom, skorzystałaby na niem. Nie lepiejże by było, gdybyśmy tej opłakanej biegłości w obcych językach, którą się chlubimy, inny kierunek nadali, tłumacząc nasze własne dzieła na język francuski, niemiecki lub angielski?” Powiem więcej: gdyby który z magnatów polskich o historycznym nazwisku wydobył z zagranicznego banku drobną zaledwie cząstkę ulokowanych tam własnych kapitałów, leniwie a bezużytecznie narastających, i obrócił je na stworzenie wydawnictwa wzorowych przekładów autorów polskich na język francuski, wykonałby bez wysiłku czyn wysoce patryotyczny i na zawsze pamiętny. Nawiasowo dodam, że lokowanie pieniędzy w wydawnictwo książek przy umiejętnej gospodarce nietylko nie pociąga za sobą strat, lecz nawet przynosi zyski, czasem wprost olbrzymie. Wszakże nad tym projektem, który tu mimochodem swawolnie rzuciłem z całą świadomością pisania palcem na wodzie, gdyż obojętność rodowej magnaterji polskiej na dobro społeczne, wystarczająco jest znana — przechodzę do porządku dziennego.

Zaznaczywszy tedy, że dla narodu pozbawionego politycznego bytu, starać się być głośnym u innych narodów dzięki podbojom na polu nauki i sztuki, jest stokroć ważniejszym zadaniem, niż dla narodów posiadających byt państwowy niezależny (teza nie wymaga dowodzenia), powiem, jakimi drogami rozpowszechnimy po świecie imiona przedstawicieli naszego umysłowego ruchu. Najpierw atoli wypada podkreślić różnicę, zachodzącą między określeniem *sławny* i *wielki*, *znany* i *utalentowany*. Te dwa określniki często uważamy za jednoznaczniki, rozumując: jest głośny, więc musi być nie byle kim. Tymczasem można być wielkim, a nie być sławnym (i odwrotnie), t. j. można zrobić doniosłe odkrycie naukowe, stworzyć genjalny system filozoficzny — i nie być znanym. Sławnym jest człowiek, o którego istnieniu wie duży odłam ludzkości. Lecz gdyby o nim nie wiedziano, jego wartość, jako twórcy danego dzieła nie byłaby przez to mniejsza. Niewspółmierność talentu i popularności, genjuszu i sławy jest na obydwóch półkulach zdarzeniem powszednim. Kiedy przed chwilą mówiłem, że dla nas Polaków jest nieskończenie ważnem starać się o rozgłos u innych narodów, miałem na myśli nietylko konieczność dokonywania przez nas czynów w dziedzinie różnych gałęzi wiedzy i sztuki, lecz nadto myślałem o konieczności rozsławiania czyli *rozreklamowywania najszerzej* naszych zdobyczy kulturalnych. Nie dosyć jest tworzyć — trzeba, ażeby o naszej twórczości wiedziano! trzeba, aby nasze dzieła zyskały na świecie te dobrze zasłużone prawa obywatelstwa, których my nie posiadamy w życiu politycznym! trzeba, abyśmy tą jedyną drogą zyskali nielekceważony głos w współżyciu kulturalnym ludzkości!

Zbadać, jakimi drogami przedstawiciele naszej literatury nadobnej (naukę przemilczam, aby nie przeciążać artykułu materjałem) stają się „znanymi” zagranicą, bardzo, bardzo łatwo. Jedną tylko drogą: przez korespondencję do literackich miesięczników, kwartalników i dwutygodników. Jest to droga wązka, raczej ścieżka, o którą w dodatku nie dbamy.

Wobec szczupłości miejsca ofiarowanego tym korespondentom, jest jasne, że muszą się oni ograniczać do podawania wiadomości jedynie o najwybitniejszych zjawiskach z zakresu literatury polskiej. O rozbiór krytyczny kusić się nie mogą. Wyjątek pod tym względem stanowi Teodor de Wyzewa, jeden z najznakomitszych essaistów francuskich, syn emigranta polskiego z sześćdziesiątego trzeciego roku. Pisuje w poważnej *Revue des Deux-Mondes* i w *Temps*. Jego niepospolite znawstwo wysoko cenią Francuzi i uważają go wraz z Julem Lemaitrem, Faguet'em Remy de Gourmontem (czterdziestym pierwszym akademikiem), — za koryfeusza krytyki francuskiej. Ostatnio pisał Wyzewa o Tadeuszu Rittnerze i o Reymoncie.

W wpływowej *la Revue* Finota, który niejednokrotnie nawoływał autorów polskich do przysyłania mu książek do oceny, pisuje Marja Rakowska i Antoni Wodziński.

Stałym referentem *Mercure de France'a* jest po Janie Lorentowiczu pan Michał Mutermilch.

Pomijam *Buletin polonais*, ponieważ to pisemko drukowane po francusku, a nad wyraz nędznie redagowane, prawie wcale niema czytelników.

W Niemczech mówi o nas p. Kaczkowski i p. Flach, który jest stałym korespondentem *das Literarische Echo. Et caetera.*

Rozumie się samo przez się, że wobec możności tak nieczęstego odzywania się o naszych dziełach zagranicą, pożądane są głosy najpochlebniejsze, jak również najbardziej zachęcające sąsiadów do zapoznania się z literaturą polską. Podobnemu poglądowi na tę sprawę dała wyraz Marja Konopnicka w liście pisanym do tłumacza jej dzieł, Antoniego hr. Wodzińskiego, który prosił poetkę o jej autobiografję. Wymawiała się od pisania o sobie, wreszcie powiedziała: (*list datowany 22 czerwca 1902 r. w Rimini*) „czy by nie można przełożyć artykułu Sienkiewicza? prawda, że jest bardzo, bardzo pochlebny, ale niech tam sobie

[1]) „Sanin“ rozszedł się po niemiecku w 100,000 egzemplarzy. Świetnie reklamowany ukazał się obecnie po francusku nakładem Grasset'a.

francuzi myślą o polskich pisarzach raczej lepiej, niż gorzej".

Sprzeniewierzył się tej zasadzie w numerze z pierwszego grudnia 1910 r. *Mercure de France'a*, pan Michał Mutermilch. W swoim „liście polskim" zdawał sprawę ze zgonu Konopnickiej, z pojawienia się tragedji Żeromskiego o *Sułkowskim*, z dramatu Nowaczyńskiego *Wielki Fryderyk*, z dwóch dramatów Orkana i z komedji heroicznej z czasów polskiego odrodzenia" Ignacego Grabowskiego, p. t. *Sokół*. Wszystkie sprawozdania są rzeczowe i zwięzłe i wszystkie są pochlebne. Tylko jedno sprawozdanie, acz nawet zwięźlejsze od innych, sprawozdanie z „Sokoła", nie jest dla dzieła pochlebne.

Nie mam ochoty roztrząsać pytania, czy p. Mutermilch się poznał na utworze pana Grabowskiego, lubo *Mercur'owska* ocena „Sokoła" nie przewyższyła surowością wielu ocen polskich; natomiast wypada zapytać, czy pan Mutermilch powinien był pisać o utworze, który uważał za słaby? przecież mógł te kilkadziesiąt wierszy poświęcić zareklamowaniu utworu dobrego.

Tak by się zdawało. Atoli nie należy zapominać, że tutaj zachodzi wypadek szczególny; że *Sokół* był nagrodzony pierwszą nagrodą na konkursie imienia Słowackiego, i że z wyników konkursu p. Mutermilch był obowiązany zdać sprawę w powierzonej mu przez redakcję kronice.

Pan Grabowski na nieprzychylną ocenę odpowiedział listem p. t. *Faktorzy literatury* (*Gazeta Warszawska 3 I. 911 r.*).

Każdy ma prawo obrony, więc ma to prawo i autor dramatyczny w kraju, gdzie krytyka literacka choruje na niedorozwój, pyszałkowatość i niesumienność. Ale odpowiadać należy rzeczowo. Pan Grabowski postąpił zanadto porywczo; powiedział, że p. Mutermilch potraktował go... „rybką po żydowsku". „Gdyby ten p. Mutermilch — mówi p. Grabowski — miał w sobie chociażby kroplę mleka matczynego polskiego, ta kropla wystarczyłaby z pewnością, aby zrozumiał, jakim nietaktem jest pośredniczenie w sprawach duchowych pomiędzy Francją a Polską człowieka, który nie może całkowicie rozumieć literatury polskiej. Sądzę, że panu M. nie chodzi o sprawę taktu, jest poprostu arogantem". A dalej: „Nie mam czasu odpowiadać wszystkim faktorom literatury polskiej i ich szabasowym gojom, którzy mnie ustawicznie *clam et coram* atakują za to, że pozwalam sobie wierzyć w przyszłość swojego narodu".

Pan Grabowski się myli, sądząc, że Niemojewski, Ehrenberg, Bukowiński, a nawet sprawozdawca teatralny *Gazety Warszawskiej* i sprawozdawca literacki tejże *Gazety Warszawskiej*, piszący przed półtora rokiem o „Pamiętnikach Rupiecia", atakowali go za to, iż pozwala sobie wierzyć w przyszłość swojego narodu. Takiego albo innego smakowania w dziełach pana Grabowskiego nie może przecież p. Grabowski uważać za probierz duchowej, patryotycznej przynależności do narodu polskiego, lub za karygodne oderwanie się od ojczystego pnia. I pan Mutermilch, który w tym samym numerze *Mercure de France'a* mówi, że „*Sułkowski*" *est une oeuvre écrite par un de plus nobles fils de la Pologne pour les Polonais* — i pan Mutermilch, narówni z wymienionymi wyżej publicystami polskimi, nie zasługuje na podejrzewanie go o niewiarę w przyszłość naszego narodu.

Zwróciłem uwagę na list pana Grabowskiego dla dwóch powodów: aby uwolnić autora „Sokoła" od przygnębiającego, a na szczęście nieuzasadnionego przeświadczenia o małym patrjotyzmie ludzi pióra, co pisarzowi tak zdolnemu a tak kochającemu ojczyznę jak autor „Stanisława Augusta" mogłoby przeszkadzać w pracy twórczej; i aby pokazać czarno na białym, do jakich wyników (rozdrażnień) prowadzi nieżyczliwa (to jej naczelna cecha!) krytyka w Polsce. Dodam nawiasowo, iż nie wątpię, że p. Grabowski żałuje dzisiaj słów rzuconych w zapalczywości na szpalty polskiego dziennika.

Zacząłem o przygodach „literatury naszej zagranicą", a oto kończę „o literaturze polskiej w jej ojczyźnie". Mimowoli przychodzi na myśl brak u nas poważnego literackiego pisma [2]). Twórczość literacka polska żyje bezdomnie, zamieszkuje „kątem" pisma polityczne i społeczne. Wychodzi wiele zajmujących książek, których prasa zgoła nie omawia. Znam wypadek, iż na dziewięćdziesiąt (90) egzemplarzy książki rozesłanej redakcjom pism i krytykom (książki znanego autora) ukazały się w Królestwie, Księztwie i Galicji razem *cztery* sprawozdania. Nie zachęcamy rodaków do poznawania literatury polskiej. Powiedzmy sobie tedy, nie owijając prawdy w bawełnę: nazbyt mało znana jest literatura polska we własnej ojczyźnie aby się wypadało dziwić, że nieomal wcale nie jest znana zagranicą. Czyli... któż tu najwięcej zawinił? Odpowiedź nie trudna.

Wacław Grubiński.

List z Rusi.

Kijów, w kwietniu.

Ziemstwa antypolskie na Rusi za trzy miesiące staną się, być może, faktem dokonanym. Uczyniono wszystko, by udział Polaków w przyszłym samorządzie zredukować do minimum. Obmyślono osobliwą statystykę, wynaleziono „kurje wyborcze" i dziś żywioł urzędniczy może oczekiwać spokojnie wyborów. Przewaga „prawdziwych gospodarzy kraju" zapewniona jest należycie. Co prawda, ziemstwa zostają wprowadzone drogą „rewolucyjną", wbrew prawom zasadniczym; wywołały one „zatarg konstytucyjny", lecz przypuścić można, że cała szopka skończy się w myśl pragnień p. Stołypina.

Ogół polski, przyznać trzeba, przypatrywał się dość obojętnie *spectaclum*, które z racji naszych ziemstw odbyło się nad Newą. Przyzwyczailiśmy się do coraz to nowych ograniczeń i szykan i kierujemy się przeświadczeniem, że

„nigdy tak nie bywa źle,
by jeszcze być nie miało gorzej..."

Polacy w kraju naszym bezwątpienia wezmą udział w nowych ziemstwach, lecz tymczasem nie słychać o polskiej akcji przedwyborczej. Jedynie *Dziennik Kijowski*, blizko ze sferami ziemiańskimi związany, nawołuje do pracy w kierunku organizowania się. Polacy, bowiem, powinni, według opinji *Dz. K.*, pracą swą w ziemstwach dać przykład włościanom, przodując ofiarnością, kulturalnością, znajomością istotnych potrzeb kraju.

Co do udziału Rosjan — bezwątpienia ster ziemstw pozostanie w ręku dotychczasowych działaczy ziemstw „margarynowych„.

Innych ludzi spodziewać się trudno — bo w kraju nie istnieją. Ziemianie rosyjscy, szukający zaszczytów i urzędów poza krajem, gdzie posiadają latyfundja, przeważnie skonfiskowane niegdyś Polakom,— nie zapłoną raptem gorliwością do pracy na niwie ziemskiej i tu na stałe nie osiądą. Narzeka więc *Kijewlanin* na brak poczucia obywatelskości u Rosjan — większych właścicieli, pocieszając się wszakże tym, że warstwa ta kosmopolitycznie usposobiona, niepewną jest narodowo i w razie pewnych konjunktur snadnie może trzymać z Polakami...

Urzędnicy z ziemstw „margarynowych" mają już pewną wprawę i wiedzą czego potrzeba dla szczę-

---

[2]) W chwili, gdy to piszę ukazał się pierwszy zajmujący zeszyt miesięcznika „Museion". (Od owej chwili powstały dwa nowe miesięczniki: „Sztuka" oraz „Miesięcznik literacki i artystyczny". Przyp. Redak.)

śliwości kraju „ciemiężonego przez inorodców". Potrafią oni bałamucić ciemnego chłopa Rusina i prowadzić go zwykle na pasku. Zobaczymy z pewnością w ziemstwach włościan podobnym do słynnych posłów do Dumy z Podola.

Spodziewać się możemy wylewu krasomówstwa o ucisku polskim, choć każdy włościanin przyzna, że bądź co bądź lepiej mu jest, gdy obywatel we wsi należy do narodowości polskiej, niżli do rosyjskiej.

Ale przecie dziś u nas orgja wywoływania nienawiści do Polaków rozpasała się na dobre. Zły przykład daje przedewszystkim arcybiskup wołyński Antoniusz, nie zaniedbujący przy każdej sposobności prawić tłumom o „odwiecznych wrogach Polakach". Sekunduje mu dzielnie Poczajewskaja Ławra, zastępy parochów i inni gorliwcy.

Administracja krajowa w stosunku do nas wytrwale kroczy drogą wskazaną przez senat rządzący w słynnym ukazie o zamknięciu „Oświaty" kijowskiej.

Według mniemania władz, poza warstwą ziemiańską, istnienie innych Polaków na Rusi — jest mytem. Są tu tylko, rzekomo, włościanie katolicy gwałtem przez szowinistów polskich polonizowani Do pewnego stopnia uznaje się jeszcze istnienie polaków w Kijowie, w innych zaś miastach kraju — co do tego są „wątpliwości".

Najbardziej skąpym w obliczaniu Polaków i najdzielniejszym obrońcą Rusi przed zalewem polskości jest gubernator podolski p. Eiler, sprawca zamknięciu „Związku Oficjalistów rolnych", jakoby szkodliwego dla interesów rosyjskich. Na całym terenie Podola dziś niepodobna uzyskać pozwolenia na odczyt polski. Urząd gubernialny kamieniecki uznaje za niepożądane i państwowo niebezpieczne regestrowanie towarzystw polskich.

Gubernator kijowski p. Giers, kuzyn Stołypina, od paru miesięcy zaprzestał również wydawania pozwoleń na odczyty polskie, nie motywując wcale odmowy, lub oświadczając, że nie posiada urzędników rozumiejących język polski, a przeto nie może kontrolować przemówienia polskich prelegentów.

Tajemnicą publiczną jest również fakt że nieniektóre z towarzystw polskich w Kijowie oczekują swego zamknięcia jako *istniejące dotąd dzięki niedopatrzeniu.*

Jedna z owych instytucji istnieje zresztą tylko na papierze — nie z własnej co prawda winy — inna nie daje prawie znaku życia, również z powodów niezależnych od siebie. Niedawno wydane postanowienie generał gubernatora kijowskiego o karach za tajne nauczanie dopełnia wiązanki zarządzeń antypolskich...

Leon Radziejowski.

Z kuźni bluźnierstw.

Aforyzmy o Czynie.

VIII.

W o l a d o ś r o d k ó w. Przewiduję zarzut: to wszystko jest jednak mową przestarzałego humanitaryzmu. Kto chce celu, musi chcieć i środków; nie chodzi o to, czy ludzie gotowi są umierać, lecz czy gotowi są walczyć.

Na to odpowiedź leży w spotęgowaniu motywów zarzutu: Trzeba chcieć środków i to do tego stopnia, iżby cel był pretekstem, okazją do ich użycia. Niech się już w środkach odbija jakość celu, niech każdy środek będzie już cząstkową jego realizacją. Może bojowiec z rewolwerem w ręku urzeczywistnia każdej chwili jeden atom Polski Bolesławów, albo Polski takiej, jakąby zrobił Bismark, gdyby był Polakiem, — lecz pytanie, czy ten charakter celu jest tak bardzo pożądanym.

D z i s i e j s z y H a m l e t. Między starym Hamletem a dzisiejszym zachodzi ta kolosalna różnica, że podczas, gdy stary jest prostym niedołęgą, bo wie, co robić i tylko nie robi, Hamlet dzisiejszy waha się nie w czynie, lecz w myślach. Obejmuje on wyobraźnią coraz większe mnóstwo możliwości, a przytym czuje coraz silniej wagę każdego czynu — stąd jego decyzja waha się, jak języczek u najczulszej wagi. Ale gdy już wybrał, działa z maszynową akuratnością i precyzją.

Z w i e r c i a d ł o k o k i e t k i. Oto jak Daniłowski opisuje bojowca:

„Idzie — rzekł ktoś, słysząc rytmiczne stąpania. Ukazał się młodzieniec na wpół nagi, tylko w spodniach, opasany naokoło bioder bandażem i przez lewe ramię, niby we wstędze bandoletu oficerskiej szpady. Piersi muskularne, białe, twarz dziewiczo blada, z płomiennymi oczyma, — piękny niby posąg wykuty z marmuru szedł równo, cokolwiek wyprężony bólem".

Wróg natomiast u tych kokietliwych pisarzy albo nie występuje wcale, albo jest chamem i idjotą, którego Polak łatwo okpiwa i zabija. Dlaczego jednak ten wróg ostatecznie nad nami panuje, to jest tylko rzeczą niezrozumiałą, dzikim kaprysem losu. Zupełnie tak samo było w literaturze popowstaniowej po r. 1863.

Są to dla estetyka ciekawe przykłady, jak blizko nicość estetyczna takich utworów schodzi się i w związku stoi z ich nicością polityczną i społeczną. Może za to pedagog narodowy powie, że taka przesada w rozdzielaniu barwy białej i czarnej jest bardzo zdrową suggestją czy odtrutką.

W y r z u c o n y p o z a n a w i a s. Jeżeli się przejrzy naszą t. zw. literaturę porewolucyjną, zdumiewać się przychodzi nad jej ubóstwem ideowym. Rozhukane fale przepłynęły zostawiając zwykły muł bez grudki złota. Jedynym wyjątkiem są „Płomienie" Brzozowskiego, dające w całej pełni ideowy ferment rewolucyjny, in statu nascendi, jak ludzi go stwarzają, jak on wzajemnie wpływa na ich stosunek do świata i do życia osobistego. A chociaż także Brzozowski denerwuje się bohaterstwem i męczeństwem, a gigantyczność jego ludzi jest zrobiona z nieprzekonywającego i demagogicznego optymizmu, to jednak widać tu na każdym kroku prace nad nowymi formami życia, nad postawą wobec wszystkich zagadnień, a nawet krwawy „czyn", około którego obraca się cała historja, nie jest ani wyskokiem sportu ani kawałkiem roboty, lecz symbolem przekrysztalonym filozoficznie. Ale krytyka Fraków orzekła, że to jest gadanina nie czyn, i że w „Płomieniach" zdradza się dusza raczej rosyjska niż polska — u nas inaczej!

N o w y D u m a s. Weźmyż autorów oficjalnych np. autentyczne wspomnienia bojowca pod charakterystycznym tytułem „Jak oni" (t. zn. śladem dawnych powstańców). „Czyta się to jak powieści Dumasa lub Sienkiewicza" zachwala jedna gazeta socjalistyczna czytelnikom. Napady na stacje, sensacyjna ucieczka kanałem, przysięgi zemsty, przesłuchania w ochranie i t. d. Oto są dzieje czynu! Tylko niema w takim razie żadnej różnicy między wspomnieniami bojowca a pamiętnikami ks. Manolescu, króla złodziei. I jedne i drugie kładą nacisk na technikę zajść i rzeczy. Element wcale nie do pogardzenia dla poezji, wszak Poe wydobył zeń świetne efekty, a tryumfy Conana Doyle'a są zupełnie uzasadnione o ile jego dzieła zadowalają zmysł sprytu i kombinacji. Ale rewolucyjny ferment jest tu zupełnie nieobecny, szpicle i bojowcy p. Brunona Kosteckiego żyją w świecie tych samych wyobrażeń, tylko że stoją po przeciwnych stronach jednej szachownicy.

Z a d u ż o c n o t y. Uderzający w dziełach Struga brak elementu erotycznego, posunięty aż do ascety-

zmu, jest również oznaką, oznaką głębokich niedoborów myślowych i uczuciowych tego bojowstwa. Bezpotrzebne samodręczeństwo Judyma i pustelnika Jana jest tu przyjętym już z góry założeniem. Nie obawiam się wcale, iżby ono było odbiciem faktycznych stosunków płciowych, panujących w partji. Ale wybór tej pozy chrześciańsko - feudalnej, godnej rycerza Toggenburga lub fakira, wybór jej zawsze wtedy, gdy chodzi o odzwierciedlenie się w poezji, — świadczy o dziecięcym zaiste sercu, a niepoprzebijanych ściankach w mózgu. Czy myślisz sobie panie bohaterze, że gdy miłość do kobiety złożysz „w ofierze na ołtarzu idei" to Bóg da, że lepiej pójdzie „sprawa?" A może to jest instynktowa spekulacja psychologiczna, by pohamowaną energję erotyczną mocą niewidzialnej transmisji przenieść na energję bojową — tak mało ufałeś sobie?

Sprawa socjalna ogranicza się tu tylko do walki klasowej. Erotyzm nie jest jeszcze sprawą socjalną? Autor nie odczuwa obowiązku wykazania na erotyzmie siły i formy swych ideałów — co np. uczynił w „Płomieniach" Brzozowski. Daniłowski w noweli „Za ścianą" przesunął cały wdzięczny problemat erotyczny w sferę różnicy zapatrywań klasowych i tak wykręcił się sianem. Ludzie Struga są samotni, ciągle w drodze, nie mają czasu ani myśleć ani kochać, urzeczywistniają wciąż tylko poświęcenie się. Oryginalny „enfant terrible" socjologiczne Lubowicki (z gwoździem wielomęstwa w głowie) doskonale wykazuje niezdarność i zacofanie socjalistów w sprawach stosunku płci, i trzeba, czytać jak on wyjaśnia ten pogrom sutenerów Warszawskich, o którym Brzozowski prostodusznie a demagogicznie mówi: że był zdrowym odruchem moralności wśród proletarjatu.

N o w y S i e n k i e w i c z. Z zachowania się tych ludzi widać, że sami z siebie nie wymyśliliby nigdy socjalizmu — i to jest najgorsze, co o nich powiedzieć można. Socjalizm jest tu nową maską rycerską dla Sobieskiego z pod Wiednia, tym koniecznym czymś, w imię czego dokonywa się czynów, a nie ideą żywą. Rewizjonizm posłużył za trampolinę do rzucenia się w objęcia babci Tromtadracji. Daniłowski jest nowym Sienkiewiczem. Ma ten sam optymizm, co mury przebija, to samo umiłowanie szlachetczyzny, tak zdradliwe, że gdy w „Jaskółce" bierze się do skompromitowania narodowego demokraty, popada z nim w solidarność, potym musi urwać i dopiero później wprowadza już gotowego renegata. Księżniczka Halszka biorąca udział w boju i rozpalająca w obrońcach barykady żądze czynów—jest tak rozkoszną, jak Basia Wołodyjowskiego. A bombiarz w „Miłości i boju" rezonuje tak trafnie i zwycięża swoich interlokutorów tak samo łatwo, jak ludzie w „Wirach".

„P o r z ą d e k s t a r y j u ż s i ę w a l i". Jedną ze wstrętnych manier Brzozowskiego jest powoływanie się na gdzieś tam w głębi, w szerzy, może w łonie ludu, dokonywające się zmiany, zmiany, których wyrazem była rzekomo rewolucja, — i przygniatanie czytelnika tym świadectwem. Oto już przepisał, już rośnie, już idzie, już puka do drzwi... Włosy powstają na głowie... Gdzie? Co? którędy? To *to* ma być *to*? Można mówić, czego się samemu chce, ale co się *tam* dzieje — tego nikt nie wie, i niech nie udaje że wie. Ostatecznie pokazuje się, że natura owego rzekomego kataklizmu nie jest tak pewna i Brzozowski wyalarmowawszy się najprzód do syta, musi dodać: włościanin jeszcze tylko (!) sam siebie nie rozumie ale już... już... i kończy: robotnik, człowiek będzie tem, czym sam siebie uczyni — jeżeli się uczyni... Jeżeli! O Pytyo! poco mnie straszysz, teraz będę spał spokojnie; na „jeżeli" świat jest zbudowany, a stoi mocno...

Kataklizm jest w tym, że na zachodzie powstają już stowarzyszenia antihałasowe...

Karol Irzykowski.

BADANIA NAUKOWE.

Naród a Klasa.

II.

Międzynarodowej solidarności klas, która jest „konsekwentnym wyrazem materjalistycznego pojmowania dziejów", przeciwstawić można momenty wzajemnej w obrębie narodu łączności klas gospodarczych, wzrastającej w miarę usuwania wyzysku, rozwoju ustawodawstwa ochronnego, potęgującego się wreszcie zrozumienia własnego interesu po jednej i drugiej stronie. Nauka ekonomiczna zna wiele środków związania wzajemnego klas wrogich sobie; robotnik dopuszczony do pewnego udziału w zyskach przedsiębiorstwa, odnosi się do pola swojej pracy i osoby czy klasy swego przedsiębiorcy inaczej, niźli robotnik dziennie płatny.

Jeśli ten „kapitał" jest narodowy, t. j. w rękach przedsiębiorczych polskich złożony, solidarność międzyklasowa w obrębie narodu jednego wystąpi jako siła żywotna, młoda, odsuwając na plan dalszy hasła międzynarodowe proletarjatu. Robotnik, dopuszczony w jakiejkolwiek formie do współudziału w zyskach i spółpracy w przedsiębiorstwie, nie staje się bynajmniej spółwłaścicielem tego przedsiębiorstwa; właśnie postępy naukowe i praktyczne w systemie *płacy* roboczej mają za zadanie w dzisiejszym ustroju własnościowym, robotnika związać z losami przedsiębiorstwa, mimo, iż tenże kapitału potrzebnego udziałowego nie posiada. A nawet wtedy, gdy ów robotnik staje się spółwłaścicielem, jest on nieskończenie więcej robotnikiem niźli przedsiębiorcą.

Są więc środki i kategorje ściśle *ekonomiczne*, które nie przemawiają za międzynarodowymi przesłankami a raczej mogą nasunąć momenty solidarności międzyklasowej w narodzie. Mówiliśmy tu jedynie przykładowo o pracy roboczej i jej reformach, zdążających do związania wzajemnych interesów, jednakże już z tego można nabrać przekonania, że dzisiaj jest troską pracodawców, dbających o własny interes, aby przez odpowiednie ukształtowanie stosunków roboczych związać jaknajściślej robotnika z przedsiębiorstwem.

Rezultaty tych usiłowań, nie dały do dziś dnia wyników nadzwyczajnych, nie rozszerzyły się przedewszystkim w mierze takiej, iżby stanowić mogły czynnik decydujący w kształtowaniu się stosunków międzyklasowych, nie mniej jednakże — usiłowania takie istnieją i są dowodem możebności solidarnych interesów wzajemnych.

Wszakże poza sferą ekonomiczną mamy jeszcze cały szereg stosunków nie-gospodarczych, które składają się na życie kulturalne narodu i które również łączą i łączyć mają klasy gospodarcze i „stanowe" w narodowej społeczności. I nie mówimy w tej chwili o najwyższych zdobyczach naukowych, literackich, politycznych, estetycznych, jako dostępnych jedynie szczupłej garstce „szczytów duchowych", lecz owszem, chcę położyć nacisk na te nieliczne, ale nie mniej istotne zjawiska kulturalne i gospodarcze, które są spólne całemu narodowi, wszystkim jego klasom i stanom. Jest tych warstw niewiele, lecz aby je poznać, trzeba zejść do *najniższego* poziomu, gdyż tylko to, co dostępne jest i co rodzi się z najniżej stojących żywiołów społecznych, to także może być „*powszechne* w narodzie".

I niewątpliwie dwie są „powszechności narodowe", jedna rodzi się z siły, druga ze słabości.

Ta druga znaczyć się może wulgarnością nawet. Wszelako literackie tylko ujmowanie zjawisk społecznych, może żapoznawać ogromną siłę tej drugiej po-

wszechności, która się znaczy zgodnością wysiłków, harmonją, zespołem rozrzuconych i dorywczych zaczynów i poglądów w narodzie. Nie są to frazesy, choć mogą słowa te robić wrażenie... słów tylko.

W społeczeństwie polskim na dawnych ziemiach polskich, chłop właśnie jest tą wartością *najpowszechniejszą* w narodzie, reprezentując coraz większy (na skutek parcelacji) obszar ziemi polskiej i zawsze równie liczny zasób materjału ludzkiego. I można z tej wartości niewątpliwie uczynić hasło par excellence *klasowe*, a mieliśmy częste tego przykłady, lecz można także i o to nam chodzi w rozważaniach naszych, z najpowszechniejszej klasy narodowej wynieść i „wydedukować" wartości, które przetworzone przez czoło narodu: polską inteligencję, stać się mogą powszechnym spoidłem międzyklasowym, wartością międzyklasową: więc narodową. Może dziś jeszcze wartość ta przejawiać się w formie przeważnie *gospodarczej*, może świat zadziwiać postępująca wciąż praca i wytrwałość chłopa polskiego w Poznańskiem wobec zakusów pruskich, może cieszyć siła ekonomiczna Mazura, owego naturalnego akomulatora pracy wszelakiej. Wszakże i dziś już mamy zadatki wartości nowych, *kulturalnych* w chłopie i wsi polskiej, wartości, które uderzają wprost „inteligenta", gdy patrzy na teatrum włościańskie w Galicji, (Związek teatrów i chórów włościańskich jest instytucją centralną, grupującą wiele lokalnych centrów), na wiece ludowe, na czytelnie i odczyty (chłopskie!), na kobiety wiejskie, w ostatnich czasach garnące się chętnie do kółka, czytelni, bibljoteki, wykładów.

Nie idealizujemy tu bynajmniej słabych oczywiście zaczątków tego ruchu wśród włościaństwa, ale jest on już wartością *realną*, istniejącą. Trzeba zetknąć się tylko z chłopem polskim, aby nabrać przekonania, iż ma się do czynienia z materjałem, niełatwym wcale do urobienia przez... młodzież akademicką i „inteligentów", a to dlatego, że chłop jest często bardziej urobiony, niż urabiający go młodzieniec, czy „oświatowiec".

Chodzi tu, rzecz prosta, nie o jego poziom wykształcenia, ale o tę specjalnie chłopską wytrwałość i zdolność *zachowania* wartości zdobytych, o tę niczem niepowstrzymaną prężność naprzód, w głąb i w szerz, która cechuje chłopa. Ziemiaństwo polskie dopiero w ostatnich czasach na skutek ciężkich przejść, wzięło się do ochrony zagrożonych majątków i postawiło je tu i owdzie na stopie racjonalnej. Prężność „mas chłopskich", wiecznie ziemi głodnych posłużyła za *memento* dla jedno lub dwuwioskowych folwarków ziemiańskich, które chcąc ostać się w nawale apetytów na ziemię, musiały wziąć się całą mocą zagrożonej sytuacji do zasadniczych reform w gospodarce.

Dr. Leon Biegeleisen.

Dr. F. W. Foerster: „Seksualna etyka i pedagogika".

Doktryna katolicka jest suflerem i reżyserem, którzy bezwzględnie panują nad rozumowaniem autora. Doktryna ta okalecza i obezwładnia intelligencję p. F-ra, skazując go na niemoc argumentacyjną. Cała książka p. F. jest zdawaniem egzaminu autora z doktrynerstwa, wskrzeszaniem rozpaczliwym trupa katolickiego upudrowanego, umalowanego na czerstwą cerę, przystrojonego w szaty bohaterskie.

P. F. podejmuje protest i reakcję przeciw współczesnej cywilizacji. Możnaby to tylko pochwalać, gdyby p. F. umiał lepiej stawiać djagnozę choroby wieku i przepisywać skuteczne lekarstwa. Wobec tego, że jedno i drugie szwankuje i niedopisuje, u p. F. pacjent zmuszony jest nogami i rękami bronić się od narzucającego się mu lekarza w osobie p. F.

Historjozofja p. Foerstera jest daleką od świadomości istnienia rzeczywistego a nie fikcyjnego zła, od rozumienia źródeł, skąd ono wypływa i od obmyślenia skutecznych środków zaradczych. Aberracja p. F. idzie tak daleko, że pewne dzisiejsze kierunki i prądy odrodzeniowe bierze on za objawy zwyrodnienia i czerpie w tym natchnienie do ogłoszenia upadłości i niewypłacalności współczesnej cywilizacji. Stanowisko, jakie autor zajmuje w ogólnych zarysach streszcza się w tym, że korzystając z pewnych ułomności współczesnej kultury, chce ją zastąpić strupieszałością kulturalną pod postacią katolicyzmu, jest bowiem zdania, że panujące obecnie braki nie mają innego źródła, jak porzucenie i sponiewieranie katolicyzmu, zatym tylko restauracja katolicyzmu w całej jego okazałości może zaradzić złemu.

Bezpośrednim powodem wygłoszenia przez p-na F. jego apologji katolicyzmu i napaści na nowoczesne prądy etyczne jest dążność do zrównania prawnego ślubnych i nieślubnych małżeństw, ślubnego i nieślubnego potomstwa, do ochrony wszelkiego macierzyństwa środkami społecznymi, do zniesienia mechanicznej policyjno-religijnej nierozerwalności stadła małżeńskiego a oparcia tej nierozerwalności na obustronnych naturalnych skłonnościach do podporządkowania tej nierozerwalności bioutylitaryzmowi, bez czego staje się ona bezpłodną, szkodliwą tyranją i torturą, wreszcie do oparcia stosunku płci na miłości a nie na „mamonizmie".

Dążenia te posiadają całą swoją literaturę naukową, publicystyczną, polityczną, którą niepodobieństwem jest tu streszczać. Ułamek tej literatury był referowany na łamach *Prawdy.* W tym miejscu zaledwie tyle wolno nam będzie powiedzieć, że wyrosła ona z protestu przeciw zwyrodniałemu, podkopanemu przez kapitalizm małżeństwu, które doprowadziło do rasowego znikczemnienia i do społecznego zdziczenia, przez hodowlę rodzinnych egoizmów, spiskujących przeciw społeczeństwu, przeciwstawiając się społecznym interesom tak dalece, że wszelcy bojownicy o dobro społeczne zmuszeni są bytować poza obrębem rodziny.

Motywem pierwiastkowym tego nowoczesnego prądu jest odrodzenie fizyczne i wydoskonalenie rasowe, które wymaga wykluczenia z rozkładu całego szeregu obarczonych i zwyrodniałych, choćby wzbogaconych, osobników, i które wymaga naturalnego doboru płciowego, zaprzepaszczonego przez „mamonizm" małżeński. Kapitalizm, podniósłszy do krańcowych wyżyn przywilej pieniądza, który stał się jedynym mocodawcą życia, użycia i nadużycia, zrodził obłąkaną, ślepą, religijną pogoń za owym wszechmocnym pieniądzem. Życie, użycie, nadużycie za pomocą pieniędzy zdobywanych za wszelką cenę, oto cel istnienia. Instytucja małżeństwa jednożennego i nierozerwalnego, stworzona przez kościół katolicki na jego własny użytek, musiała uledz kategorycznym imperatywom i postulatom pieniądza. Dzięki temu, stała się ona tylko jednym środkiem więcej do zdobywania albo nadmiernych, albo brakujących pieniędzy czasem w widokach tylko życia, innym razem w widokach użycia i nadużycia.

Małżeństwo, przestając być celem samym w sobie a jedynie środkiem do celów nie mających nic wspólnego z dobrem społecznym, z interesem rasowym i wychowawczym stało się fikcją, formą bez treści, kłamstwem konwencjonalnym. Trójkąty małżeńskie, *maisons des rendez-vous*, gdzie mniej doświadczeni małżonkowie ze zdumieniem znajdują czasem fotografje swych żon lub innych krewnych, wszystko to weszło na porządek dzienny i stało się małżeńskim dopełniaczem bardzo naturalnym i nieuniknionym.

Pan F. zdaje się niewiedzieć nic o tym. Niedość na tym: reakcję i protest przeciw dzisiejszej formie małżeństwa, która począwszy od nieprzyzwoitego obrzędu ślubno-weselnego a skończywszy na ro-

dzinnych intrygach i zbrodniach majątkowych, stała się czemś nad wyraz nieapetycznym, niechlujnym, szkodliwym i niemoralnym p. F. uznał zupełnie dowolnie ni mniej ni więcej jak za „rozpustę, rozwiązłość, zwierzęcy hedonizm, który musi doprowadzić do niewoli „ducha" u ciała, do chaosu i podeptania prawa osób innych.

Podług p. F. wolność istnieje tylko wówczas gdy „duch" poskramia ciało. Forma małżeńska wytworzona przez katolicyzm, zdaniem autora, jest idealną i wieczną; wywiera ona wpływ wychowawczy w kierunku poskramiania ciała przez ducha, stawiając i wdrażając do celów idealniejszych, niż proste życie. Względy hygjeny, zaczerpnięte z pozytywnej wiedzy, ambicje, kult dorodnego ciała i błogostanu z tym związanego, wzgląd na korzyść w walce o byt zsolidaryzowanego zespołu społecznego, wreszcie swiatła opinja stojąca na straży głębiej zrozumianego interesu życia, wszystko to według zacietrzewionego p. F. są hamulce niewystarczające, aby powstrzymać ludzi od nadużyć płciowych, gdyż p. F. peszymistycznie zapatruje się na człowieka. Jego zdaniem tylko te kagańce, jakie nakłada katolickie małżeństwo, zdolne są cel ten osiągnąć. Takiemu doktrynerowi jak p. F. rozumie się nie przychodzi do głowy, że wiek zawierania małżeństw jest tym, w którym ludzie już są źle lub dobrze wychowani, zatym żadnego wychowawczego wpływu od małżeństwa katolickiego, spodziewać się nie można. Od Boccacia i Le-Sage'a dowiadujemy się, że w czasie i w miejscu najbujniejszego rozkwitu katolicyzmu, trójkąty małżeńskie były w pełni rozwoju a nawet papieże, choćby np. Alexander Borgia byli jawnymi rozpustnikami. Na tego rodzaju zarzuty p. F. ma ciekawą replikę, oznajmia bowiem, że „nadużycie i zwyrodnienie właściwe jest każdej idei, która wciela się w życie, a im jest ona szczytniejsza, im bardziej obcą człowiekowi zwykłemu tym silniej podlega temu prawu". Idea według autora jest dobra, tylko wykonanie złe, z powodu ułomności ludzkich, za które katolicyzm nie powinien być odpowiedzialny. Demokratyzm jest dobry choć w Stan. Zjedn. wydaje fatalne owoce. Jeżeli jednak tak jest, jak utrzymuje autor, to jaka jest gwarancja, że i dziś nie powtórzysię wadliwe wykonanie zbawiennej idei? Zaręczenie słowem honoru pana Foerstera nie może wystarczać i rozstrzygać o przełomach kulturalnych. Następnie jeżeli tak było, to skąd p. F. wie, że koncepcja małżeńska katolicyzmu jest zbawienną, skoro experyment się nie udał, rzekomo nie z winy katolicyzmu, tylko ułomności ludzkich. Wszak probierzem wartości idei jest praktyczna wartość jej zastosowania. Cóż sądzić mamy o zdolnościach lekarza, który przepisuje pacjentowi niewykonalne dla niego recepty albo takie, które stosując, może tylko szkodę wyrządzić.

Alexy Kurcyusz.

KRYTYKA.

Chaos i chaotyczność w poezji Tadeusza Micińskiego.

Na gruzach światopoglądów realnych, idei materjalnej, obleczonej w kształt wyrachowania życiowego, rodzi się mistyczne zapatrzenie w świat ducha. Nieprzeparta dążność stwarzania ucieleśnionej formy dla abstrakcyjnych pojęć na gruncie szarzyzny i pospolitości oraz głębokie poczucie ogromu sił żywotnych w człowieku — oto rodzice metafizyki żywej — mistycyzmu. Możliwości, rozpierające człowieka, wstępującego w życie po zniszczeniu przesądów determinizmu życiowego i ich zawrotna głębia, otwierająca się u stóp, za uderzeniem w sedno życia — oto tajemnicze podjęcie młota do ekstatycznej i wzniosłej walki z pesymizmem miernot. Zapewne, że i w tych hardych piersiach kryje się niekiedy boląca rana, otwierająca się jako wieczne przypomnienie w chwili upadku i bodaj krótkiego zaniedbania godności.

Realna korzyść ma w sobie mimo wszelkich rozkoszy zmysłowych, których dostarcza, także konsekwencje nieprzyjemne. Rozumie się nie u materjalistów z lekkim mózgiem, uważających ją za jedyny miernik wartości — mówię o człowieku wyższym, stojącym w ideowym kontakcie ze światem rzeczy. Konsekwencją nieprzyjemną będzie w tym wypadku poczucie skończoności i bezczynność twórczych elementów, przywykłych do ruchu ciągłego i pracy — sumienie twórcze.

Praca intellektu, bezskuteczny wysiłek, jak chce Bergson, w kierunku analitycznego zgłębienia istoty rzeczy, też zadowolić nie zdoła potrzeby twórczej tętniącego żądzą zajrzenia w oczy Fatum człowieka — stwórcy.

Istnieje zakątek, a raczej świat odrębny, głębią niezbadaną wiejący, którego jedynym wyrazem jest przeżycie, niemające nigdy ukojenia znaleźć w formie, — materja objąć go nie zdoła. Swiat wyłoniony z rozmaitości pobudek i bodźców, złączony w syntetyczną całość, zwącą się duchem. Misterjum, zachodzące na drogach tego ducha, to parcie ku pełni życiowych przejawów.

Tam więc, na wyżynach, w punkcie ujawnienia się żądzy rzeczywistego przeżycia nieskończoności w sobie, przeżycia choćby najzwyklejszego momentu rzeczywistym aktem woli, były narodziny mistyka, w tej chwili mógł też powstać pierwszy poeta.

Religja pierwotna wolna była od więzów społecznych i politycznych. Swiat astralny spersonifikowany wśród długowiekowych rozmyślań i ekstaz, miłosne uwielbienia Symposionu, metafizyka średniowieczna i sataniczne orgje — to świat, powstający z każdą chwilą istnienia ludzkości.

To mistycyzm w przejawach powszechniejszych, powiedziałbym, bardziej uspołecznionych, posiadających symbol zewnętrzny świata i ludzkości czy to w formie czysto przyrodniczych praw i celów, czy też etyki powszechnej.

Lecz istnieje jeszcze mistycyzm usymbolizowany w jednym słowie „Król-Duch". Mistycyzm zżarty do dna bólem duszy, duszy szlachetnej do głębi, biorącej ciężar krzyża win powszechnych, narodowych na barki obite nahajem.. Mistycyzm z mesyańskim znakiem, w Chrystusowe wcielony kształty... Jaźń spalająca samą siebie przez głębokie odczucie prawdy, iż naród — to ja — miljon, a krzyż na Golgocie Jaźni mej — to odkupienie nietylko innych, ale i samego siebie.

Słowacki i Mickiewicz spełniają eucharystyczne misterja w sobie, a świętość myśli i uczuć z bólu i męki poczęta, sankcjonuje wartość ich jako twórców i rycerzy.

Metafizyka współczesna jak też i cała filozofja przeszłych wieków wyrazem jest właśnie tego szukania dróg ku ujściu z matni splotów gminnego cierpienia, jest arystokratyzmem, nie posiadającym wprawdzie wartości realnej w formie korzyści fizycznych, czy fizjologicznych, lecz w każdym razie stawiającym człowieka gdzieś u brzegów Nirwany, poznania krytycznego wszelkich racjonalnych podstaw życiowych.

Smiało możnaby tedy u mistyków podstawić symbole jak: Cierpienie, Bóg, Polska i t. d. pod symbol jeden—Nieskończoności. Nieskończoność jest w tym wypadku też formą obrony przed życiowym realizmem,

środkiem oderwania się od wulgarnej etyki, lecz usprawiedliwia ją ból i cierpienie tych, którzy weń włożyli wszystko co mieli — swą Jaźń.

Lecz, jak zaznaczyłem, pojęcie mistyczne o świecie nie umie opierać się na samej tajemnicy, zagadce bytu ad hoc skonstruowanej. Tajemniczość i głębia leży w duszy ludzkiej już sama przez się wskutek otchłanności każdego rzeczywiście głębokiego problemu. A takim bezsprzecznie być może wszelkie zagadnienie, ku któremu kierujemy żądzę rzetelnego poznania. Słowo „Tajemnica" nie budzi w nas jeszcze dreszczu jaki daje rzeczywiste, świadome wglądanie w rzeczy i tajemniczość, wiejąca z otchłannych fal Kosmosu

Mistycyzm polega też na jasności a przynajmniej na rzetelności konstrukcji tajemnic. Mogą one z sobą kolidować logicznie, lecz nigdy nie mogą stać w otwartej sprzeczności i to biorąc ogólnie nie mogą tworzyć chaosu myślowego.

Czym innym jest bowiem konstatowanie *chaosu*, zamieszania, jakie budzi w nas świat zewnętrzny i jego w nas odbicie — Jaźń, a czym innym *chaotyczność*.

Tu też kryje się powód nieporozumień w krytyce literackiej co do utworów mistycznych. Nie wystarcza bowiem nazwanie się autora mistykiem, aby przyjmować go z aplauzem. Zadaniem krytyki będzie zgłębienie czy tak jest rzeczywiście, skonstatowanie faktu przed wszelkimi peanami, które ma zamiar pisać na cześć autora.

Takiemu właśnie nieporozumieniu uległa część krytyki literackiej w stosunku do twórczości poetyckiej Tadeusza Micińskiego. Czy autor jest mistykiem, czy też blagierem jeno zręcznym, nad tym zastanawiać się nie przywykliśmy; a zresztą tylu ludzi dziś pisze i tak wiele ma czytelnik co roku coraz to nowego materjału, że doprawdy poco się nad tym zastanawiać?... Niech pisze... wolno każdemu...

Tak, lecz nie wolno czynić jednego, a to: bezmyślnym być nie wolno i to, co jest niezrozumiałe i płytkie podawać za głębokie i mądre.

(D. n.) *Stanisław Baczyński.*

Edward Słoński: **Partya**. Romans rewolucyjny. Warszawa 1911. Gebethner i Wolff.

Od powieści społecznej wymagamy oryginalnego ujęcia całości danego zjawiska, oczekujemy uogólnienia, któreby pozwoliło nam z nowego, niezwykłego stanowiska spojrzeć na omawiane sprawy. Nie jesteśmy bowiem obojętnymi widzami chwili bieżącej; gramy w niej rolę czynną i pragniemy stworzyć sobie jej ocenę, ustalić pewne wartości. Wartościowanie zaś jest niemożebne, o ile z danego zjawiska nie zdajemy sobie sprawy, jeśli o nim nie mamy ogólnego pojęcia. W podobnym stosunku stajemy i wobec powieści społecznej. Musi ona dostarczyć nam materyału do wartościowania, musi więc ująć opowiadane zjawisko w formach jego nie przypadkowych, nie w kształtach poszczególnych, lecz w typowych, w obrazie syntetycznym. Nic więc dziwnego, iż oceniając „Partyę", te właśnie wymagania postawi tej powieści czytelnik. Nie zgodzimy się na to, iż powieść ma stanowić psychologiczne studyum niejakiego Stacha Kostrzewy, przekształcającego się z nieszczerego rewolucjonisty w bandytę; iż rewolucja jest tylko tłem dla uwypuklenia postaci. Przeciwnie, niewątpliwie rewolucja stanie się dla nas wszystkim, postać zaś Kostrzewy—tylko ogniskowym punktem obrazu, w którym autor uwypukla cechy o wiele szersze niż poszczególna postać Kostrzewy. Stanie się więc Kostrzewa nie charakterem lecz typem, w którym zawartą została większość cech rewolucjonisty. Pewne zaś jednostronności, uchylenia od typu zostaną przez autora upostaciowane w drugorzędnych postaciach Wójta, Lisa, Kruka, Rafała.

Stach Kostrzewa, ruchliwy w okresie strejku szkolnego młodzieniec, wyjeżdza na kondycję, udając maturzystę, studenta. Zawiść wobec zamożnego chlebodawcy popycha go do zorganizowania strejku rolnego. Taż sama zawiść, przyziemność natury, ambicje pchają go dalej po tej samej drodze. Wstępuje do partji, zostaje rewolucjonistą i. . wygłasza zawsze jedną i tą samą wyuczoną mowę, którą powtarzają i wszyscy jego towarzysze. Wstępuje do bojówki, z rozkazu partji dokonywa szeregu napadów na monopole, na banki prywatne. Widok zdobytych pieniędzy rozbudza w nim chciwość—Stach zaczyna wyprawy na swoją rękę i zostaje za to zabity przez dawnych towarzyszów.

P. Słoński niczym nie zaznacza, aby swego Stacha Kostrzewę uważał za wyjątek, interesujacy go jako psychologa. Stach jest w powieści jedynym reprezentantem młodego pokolenia. W ten sposób więc osądził autor tę młodzież, która przed kilku laty w wyjątkowych warunkach i w wyjątkowy sposób opuszczała ławy szkolne? Czyż tej właśnie młodzieży brakło polotu, skrzydeł, szerszego oddechu? Czyż ta właśnie młodzież dostarczała do szeregów wątpliwych rewolucjonistów, a niewątpliwych bandytów? Czy zna p. Słoński takie wypadki? jak wiele ich zna? czy ma prawo czynić na ich zasadzie uogólnienia?

Próżne pytania — i zgoła niepotrzebne. Czyż potrzeba komentarza do tak zwykłego u nas zjawiska, że p. Słońskiemu „Bezimieńce" zamienili się w Kostrzewów? Zyskał sobie p. Słoński pochlebne oceny kurjerków i pieczołowite wzmianki wydawców na okładce. Stracił—niewiele. Jako nowelista p. Słoński nie dorastał do miary swych utworów poetyckich. W „Partji" jest może więcej pośpiechu, pobieżności, lecz nie stoi ona na niższym poziomie od dwóch tomów dawniejszych jego nowel. Strona techniczna powieści szwankuje mocno. Nie można zapominać, iż pan Słoński porwał się na temat o którym wie się zazwyczaj z notatek reporterskich i gawęd kawiarnianych. To są materjały i sposoby „obserwacji", przez dziesiątki innych już zresztą przed p. Słońskim popłatnie spożytkowane. Komu zaś znane są np. utwory Struga, temu napewno p. Słoński nie zaimponuje znajomością życia podziemnego. Kiedy chodzi o odtworzenie najsilniejszych momentów lat rewolucyjnych: strejku październikowego, dni konstytucyjnych — inwencja p. Słońskiego fatalnie zawodzi, a właśnie w tych razach czytelnik ma niebezpieczną dla autora możność zestawienia jego opisu z osobistemi swemi przeżyciami. Wątpić należy, czy te zestawienia wyjdą na korzyść poczytnej bezsprzecznej powieści p. Słońskiego.

Brak wprawy we władaniu mową niewiązaną, zwłaszcza w szerokich ramach powieści, sprawia, że p. Słoński nadużywa sposobu opowiadania, który nazwałbym „gawędziarskim" a który łatwo nuży swą monotonią mimo pozornej potoczystości. Jednostajnymi są również te sposoby, którymi usiłuje autor ożywić i ubarwić swą powieść. Niżmal każdy np. rozdział kończy się snem lub widzeniem Stacha, w którym podkreśla autor wybitniejsze, jego zdaniem, momonty. Aż do zbytku wiele jest w powieści tych: „zdawało mu się"—które chyba czas już wynieść do graciarni naszej literatury gdyż stały się już tak zużytym efektem, jak operetkowy „grzmot" Kalchasa.

Jan Dąbrowski.

NA DOBIE.

Walory „Nowej Gazety".

P. Stanisław Kempner uległ ponownemu złudzeniu, uroiwszy sobie, że walka, którą przeciw niemu podjęliśmy, jest zatargiem osobistym, który uda się utopić w chaosie gestów i frazesów, zgłuszyć zgrzytaniem zębów i tupaniem nóg.

Z niewysłowioną tedy przykrością raz jeszcze wrócić do p. Kempnera musimy, postokroć przepraszając ogół czytelników i przyjaciół naszego pisma za dotykanie tak niemiłego objektu. Na ten raz atoli będziemy dotykać go już tylko w rękawiczkach; a raczej, trzymając go przed sobą na przyzwoitej odległości, tak, aby czyny jego w odróżnieniu od osoby uwydatniły się w słusznej perspektywie, poddamy ocenie przedmiotowej działalność tego męża, w tej postaci, w jakiej odbiła się ona na łamach *Nowej Gazety.*

Któż ośmieli się twierdzić, iż przekonanie o nicestwie ideowym tego dziennika jest czyimkolwiek odkryciem indywidualnym? Wszak takie jest przeświadczenie powszechne. Przedewszystkim zaś jest to głos całego polskiego postępu, który nadal nie chce swym płaszczem ubogim pokrywać przedsiębiorstwa Kempnerów. Poza nimi wyrosło z łona narodu całe nowe, młode pokolenie, które pragnie iść do ludu ze słowem płomiennym i z ofiarą czynu, pokolenie tak obce nastrojom *Nowej Gazety*, jak bezinteresowność dążeń obca jest giełdziarstwu. Nie zniesie ono w środowisku swym pasorzyta, chłonącego soki wewnętrzne; nie dopuści do uzurpowania stanowiska reprezentacyjnego w postępie polskim przez wydawnictwo, które jest „interesem" prywatnym p. Kempnera, źle służąc sprawie polskości i szkodząc rozwojowi postępu w naszym społeczeństwie.

Nowa Gazeta bowiem nie uwzględnia potrzeb i zjawisk życia narodowego polskiego w równym stopniu, jak i postulatów rozwojowych przyszłości. Co więcej, język tego pisma, w wielu miejscach, dla Polaków, nieobeznanych z żargonem, bywa wręcz niezrozumiały. Co znaczy np. *Chinkie-Pinkie?* lub *Tomchaj Anyim?* albo *Pintele Jud?* jakim szczególnym walorom zawdzięczają śledzie *pesachowe* swe uprzywilejowane stanowisko w oczach p. Kempnera? czemu osobliwym jego poparciem cieszy się co roku *Bal Purymowy?*

Ale dajmy pokój tym niedyskretnym pytaniom! P. Kempner gotówby nas posądzić, że chcemy szargać jego świętości.

Zastanówmy się lepiej nad nieuleczalnym optymizmem tych, którzy w dobrej wierze proponowali p. Kempnerowi wydawanie żargonowego pisma polonizującego dla mas żydowskich: jakże daleką propozycja ta była od rzeczywistych zamiarów p. Kempnera! On przedsięwziął wydawać pismo w kierunku wprost odwrotnym: pismo polskie żargonizujące... dla Polaków. To też Polaków rychło odstręczył, staczając się zwolna, ale coraz głębiej, w ciemnicę chasydzkiego ghetta, aż w końcu zmuszony się ujrzał oprzeć się wyłącznie na masach konserwatyzmu żydowskiego. Wtenczas pękła ostatnia nić, wiążąca go z postępem z ruchem i zadaniami kultury. *Nowa Gazeta* coraz częściej stawała się echem Synagogi. Stopniowo zamierały w niej nawoływania do oświaty, do tworzenia szkół i ognisk pracy społecznej, jęły się natomiast ukazywać odezwy, wzywające „wszystkich braci Izraelitów" do budowy „bóżnic, synagóg i domów modlitwy w Warszawie".

Odezwy te miały nieraz w sobie nutę rzewnego liryzmu: „Każdy z nas (Izraelitów!) — czytamy w jednej z nich [1]) — zapewne często miewał możność być świadkiem wzruszających scen, kiedy w soboty i święta, a szczególnie podczas nabożeństw noworocznych i dnia sądnego, wielu z naszych współwyznawców, z powodu braku miejsc, są (!!) pozbawieni możności wylewania swych uczuć religijnych Wszechmocnemu..." „Do zbierania ofiar upoważniona została... redakcja „*Die Neue Welt*, Nalewki"...

Możność wylewania swych uczuć religijnych w postaci składek na bóżnice stała się dla *Nowej Gazety* ideałem równie bezwzględnym jak dla *Polaka-Katolika* podobneż wylewanie uczuć religijnych w postaci składek na kościoły. Taka harmonja w „wylewaniu" niejednemu, doprawdy, może imponować, lecz my, niestety, zapytać musimy, gdzież w harmonji tej podział się akord postępu?

Duch talmudyzmu, duch teologji średniowiecznej miał w p. Kempnerze szczerego opiekuna i obrońcę: Najbrutalniejszych przeżytków obrzędowych *Nowa Gazeta* strzegła jak oka w głowie przed atakami wolnej myśli i... higjeny.

Ludzie czulszego sumienia pamiętają zapewne dotąd potworny wypadek pośmiertnego obrzezania, jaki zaszedł przed trzema laty w jednej z ukształconych rodzin izraelickich: pamiętają być może ból rodziców, gdy wbrew ich woli, na drogich dla nich zwłokach, dokonano z ramienia *rabinatu* barbarzyńskiego obrzędu. Cała prasa świecka uderzyła wówczas na trwogę. Zewsząd posypały się głosy oburzenia, protestu, gniewu lub ubolewania. Nie było nikogo, już nie z pośród postępowców, ale i wśród konserwatystów polskich, ktoby się opowiedział po stronie ciemnoty krwiożerczego ghetta.

Nikogo prócz *Nowej Gazety.*

To bowiem pismo jedyne nie znalazło słów nagany dla fanatyzmu rabinów, pomieściło natomiast list otwarty [2]) jednego z czytelników, w którym tenże wprawdzie współczuje cierpieniu rodziców, przedewszystkim jednak tłómaczy, że „to co garstka żydów wolnomyślnych za barbarzyństwo uważa, ogół żydów wierzących uważa za święty obrzęd i, że rabinat, jako taki, kieruje się nie uczuciami i nastrojami osób pojedyńczych, lecz przepisami religijnymi, *kanonami* (podkreślenie *Now. Gaz*)". Żądając od żydów zarówno *wierzących* jak i *niewierzących* uległego posłuszeństwa dogmatom wyznaniowym, autor wyraża sąd, że „protesty i odezwy w tej kwestji, na łamach pism ogólnych umieszczone, były niewłaściwe i bezcelowe". W dalszym ciągu, mianowicie, dowiadujemy się ze sławetnego listu, iż kwestje teologiczne pozostawić należy organom wyznaniowym: „Od dogmatów i obrzędów religijnych nie może być apelacji do opinji publicznej" — apodyktycznie zamyka dyskusję autor.

Nowa Gazeta nie zaopatrzyła tej apodyktycznej uwagi żadnym zastrzeżeniem od redakcji, najwidoczniej więc treść jej podziela.

Ale w takim razie, cóż stanie się z dziełami Renanów, Loisych, Radlińskich i Morozowów, którzy poważyli się poddać krytyce historycznej dogmaty religijne, a na świadectwo słuszności jej wyników odwoływali się do kontroli całego świata? Czy p. Kempner rzuci na nich anatemę, czy zapali dla nich stos imieniem obrażonych kanonów świętego rabinatu, który przed wieki chciał ukamienować Spinozę?!

P. Kempner zda się wogóle na świat patrzeć po przez szyby Synagogi; czujnie wytężonym uchem łowi on nieustanne szepty i odgłosy, od progów jej nadbiegające; uczestniczy we wszystkich jej nabożeń-

---

[1]) P. „Now. Gaz." 31 października, 1909 r.

[2]) P. „Now. Gaz." 15 października 1908 r.

stwach, śledzi chorały i pieśni, roztapia się w ekstazie modłów. A kiedy razu pewnego, podczas kazania w Synagodze (na Tłomackim) pobiło się dwóch żydów z nadmiaru pobożności, Wielki Boże! co się wówczas działo z p. Kempnerem! Tego co się z nim wówczas działo, nigdy, być może, nie poznalibyśmy dokładnie, gdyby był sam w *Nowej Gazecie* całego zdarzenia nie spisał w wyczerpującym artykule pod suggestyjnym tytułem: „Popłoch w Synagodze". [3]) Miłośnik lub badacz dziejów kultu Jahwistycznego w Polsce, po latach i po wiekach, wertując *Nową Gazetę* dowie się, jak raz, wskutek hałasu w Synagodze, kaznodzieja „zmuszony był (o zgrozo!) przerwać kazanie"; jak panikę zażegnano, i jak kaznodzieja z powagą kazanie wznowił, jakie wynikły stąd sążniste artykuły, listy, repliki, dupliki, wyjaśnienia, cytaty z Miszny i z Talmudtory.

Dla polskości p. Kempner ma obojętność jeszcze bardziej oziębłą, niż dla postępu i wolnej myśli. Nie wybiega on myślą poza ciasne zaułki dzielnic żydowskich Warszawy, Łodzi, lub Pińczowa. Nie dba o polskie szkoły prywatne, tak ciężko zdobyte, takim wysiłkiem utrzymywane. Chętnie natomiast pomieszcza reklamy „szkół żydowskich z kursem rządowym oraz szerokim programem nauk judaistycznych", np. progimnazjum Belkinda, w którym soboty i święta żydowskie obchodzone bywają narówni z świętami galowymi.

Czytając tego rodzaju inseraty, nie możemy obronić się przykremu dylematowi; rodzą się, mianowicie, dwa przypuszczenia: ogłoszenia takie bywają albo płatne, albo bezpłatne. W pierwszym wypadku z niepokojem zapytać należałoby o etykę narodową panującą śród czytelników *Nowej Gazety*, w których p. Belkind spodziewa się znaleźć poparcie dla „rządowego kursu z programem nauk judaistycznych"; w ostatnim zaś wypadku trzeba p. Kempnera oskarżyć wprost o świadome, dobrowolne podkopywanie naszego bytu norodowego przez współdziałanie w rusyfikacji i germanizacji młodzieży w kraju polskim wychowanej.

Aczkolwiek z powyższego przypuszczenia nie chcemy wysnuwać wniosków ostatecznych, nie możemy jednak przemilczeć innego faktu, który przed kilku laty zaszedł na łamach *Nowej Gazety*, odbijając się echem złowrogiej niechęci w duszy wszystkich polaków postępowych: P. Kempner zamieścił w swym organie (znów bez słowa restrykcji ze swej strony) list przełożonej pewnej pensji żydowskiej, zawierający upomnienie pod adresem rodziców — żydów, by córek swych nie posyłały do szkół „chrześcijańskich" w obawie o nieskazitelność ich religijnych i narodowych uczuć.

Jakże to p. Kempner pełni swą służbę asymilacyjną, stojąc raz po raz na straży nieprzekraczalnych granic ghetta? Jakże to pojął on słodkie, pełne miłości ewangelicznej słowa Orzeszkowej o szerokim łuku nieba, który wspólnym ogniwem łączy groby i kolebki wszystkich mieszkańców tej ziemi?

Ale p. Kempner wołania ziemi polskiej nie słyszy; nie istnieje dlań wieś polska; nie istnieje dlań potęga ludu. Tam, gdzie z odwiecznej kamienistej rudy wytapia się przyszły kruszec społeczny, skąd wstaje żywa moc narodu, tam wzrok p. Kempnera nie sięga.

Czym zaś jest postęp, jeśli nie przyszłością narodu, jeśli nie jego odrodzeniem?

Otóż przyszłość nasza leży w piersiach i w duszach tej siedmiomiljonowej masy włościaństwa, które po wsiach czeka na światło wiedzy, aby zacząć żyć pełnią władz twórczych. Praca nad budzeniem owych władz i sił tkwiących w łonie ludu, inaczej mówiąc, demokratyzacja kultury, — otóż są na dzisiaj zadania rzeczywistego postępu.

[3]) P. „Now. Gaz." 5 października 1908 r.

P. Kempner lęka się podjęcia pracy tej w środowisku żydowskim, a nie posiada kwalifikacji, by poprowadzić ją śród ludu wsi polskiej. Sprzeniewierzył się zadaniom asymilacji, poniechał zadań kultury, głuchy jest na ból i na tęsknotę Polski, krzyżowanej w każdym młodym pokoleniu, jakież tedy posiada *przedmiotowe* podstawy, aby reprezentować postęp polski, by kroczyć w jego naczelnym szeregu?

Jeżeli p. Kempner istotnie coś reprezentuje, to chyba jedynie *żydowską gminę wyznaniową*, która, jak sądzimy, także zbytniej wdzięczności dlań za to mieć nie będzie.

Tak wyglądają w a l o r y p. Kempnera, odbite w zwierciadle *Nowej Gazety*. Prześwietliliśmy je za pomocą krytyki, i zważyliśmy je na szali ideałów kulturalnych i narodowych. Wskazalimy im miejsce właściwe. Na osobiste zaś napaści i zaczepki ze strony p. Kempnera odpowiadać nie będziemy, pomni na doświadczenie i radę Heinego, który już przed laty siedemdziesięciu, snadź przeczuwając p. Kempnera, pisał:

„Zaiste rzecz to straszliwa
Potykać się śród zawodu
Z robactwem, które używa
Zamiast oręża — s. . . . u! (*Gestank*)."

„Odmieńcy".

Ktokolwiek obserwował z ubocza stronnictwa skrajnej lewicy ten musiał zauważyć osobliwe piętno jakie kładzie na nie wygórowany ekskluzywizm i zaciekłość dogmatyczna. Właściwie, nie są to „partje" mimo utartej nomenklatury, lecz *sekty* o wysokim napięciu fanatyzmu i zupełnym braku tolerancji względem cudzych przekonań. Ten osobliwy *atawizm religijny*, jaki u nas na miejsce reformacji wyznaniowej powołał do życia pomienione „partje", wybucha niekiedy jaskrawo w zapale wynurzeń polemicznych. Niedawno np. *Przedświt*, pisząc o znienawidzonych „esdekach" użył wyrazu „odmieńce". Wyraz ten — tłomaczy organ „frakcji" — oznacza dziecko „odmienione w ten sposób, iż duch zły dawał na jego miejsce wyrodka, który miał się stać utrapieniem całej rodziny. Takim odmieńcem w rodzinie socjalizmu jest socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, partja, której sama nazwa jest cudacznym dziwolągiem". [1])

Następuje sążnista rozprawa z „odmieńcami" zupełnie w stylu średniowiecznych dysput religijnych, gdzie, jak wiadomo, ferwor gorącej wiary jedynym i decydującym był sprawdzianem. Podobnie i dziś, w XX-ym wieku, nasi socjaliści dzielą świat cały na potępionych i zbawionych, a i we własnych zespołach rozróżniają gorliwie ortodoksów od heretyków. Kto zna psychologję sekt religijnych ten również nie będzie się dziwił, że prawdziwy, t. j. wierzący socjalista stokroć więcej nienawidzi socjalistów innego obrządku, niż laików i niedowiarków burżuazyjnych, ci ostatni zaś nigdy nie posuwają się do tak hańbiących względem zwiastunów nowego ustroju inwektyw, jakimi upstrzone są łamy organów skrajnej naszej lewicy.

Pomieniony *Przedświt* np. oznajmia, że socjaldemokracja „stanowi prawdziwą *fleur de pourriture* (wykwit zgnilizny), zesłaną na kraj nasz przez niewolę. Kierunek ten zasadniczo antypolski i w gruncie rzeczy zupełnie antysocjalistyczny, w szeregu klęsk przez kraj nasz znoszonych śmiało postawić można obok ucisku rządowego, brutalnego panoszenia się kapitału, obok braku kultury i korzystającej z tego wszystkiego reakcji domowej". Przechodząc następnie do zarzutów, wytaczanych taktyce „bojowej" P. P. S. ze szpalt *Czerwonego Sztandaru*, powiada *Przedświt*: „trzeba przyznać, że ani u nas, ani w Rosji... nigdzie tam ani

[1]) „Przedświt", Nr. 4 (kwiecień, 1911.)

przez socjalistów, ani przez „podłą burżuazję“ *takie* zarzuty nie były czynione. Jedyni którzy się na to zdobyli, byli esdecy i... czarnosecinna, szpiclowska prasa”, Charakteryzując pisarzy esdeckich żali się *Przedświt*: „żaden klerykalno-antysemicki opryszek, żaden czarnosecinny gadzinowiec nie bryzga tak błotem, kałem i jadem, jak ci panowie, gdy zaczną pisać o „frakach”. To już nie jest polemika, nie napadanie, ale jakieś histeryczne szamotanie się, bełkot szaleńców... Nie będziemy plugawili naszego pisma cytatami, ale polecamy naszym czytelnikom czytanie „*Czerw. Szt.*” choćby poto, aby dowiedzieli się, jak *powinni tych panów traktować*, gdy się z nimi stykają.” (*sic*).

Ostatnie podkreślone przez nas wyrazy kryją niedwuznaczną groźbę i przejąć powinny rzetelną radością stronników istniejącego ustroju, bowiem trudno przypuścić, by pp. socjaliści, zajęci wzajemnym tępieniem się, mogli być dla niego groźni...

Wobec znanej furji socjaldemokracji względem polskiego „socjal-patryjotyzmu” zwraca *Przedświt* uwagę na to, że „esdecja należy do jednej organizacji z Bundem, który w ostatnich czasach stał się nie „socjal-patrjotyczną” lecz nacjonalistyczną (żydowską) organizacją. A to jego zachowanie się wywołuje czasami skromne (o, jak skromne!) uwagi ze strony esdeków, ale nigdy tych wybuchów furji, które powoduje nasza chęć wywalczenia niezależności dla robotnika polskiego”.

Koniec końców *Przedświt* zawiera całą psychologję esdecji w następujących kilku słowach, nie pozbawionych drastycznej wymowy: „bezgraniczna złość i głupota paru jednostek, wyzyskujących spiskowy charakter tej organizacji i jej doktrynerstwo, rządzących na tej podstawie bezgranicznie i prowadzących swe owieczki do kałuży, w których one tarzają się z taką lubością”.

Marzenie o szlifach.

Gdyby ci wszyscy szlachetni a jałowi marzyciele z obozu *Przedświtu* propagowali jakieś nadzwyczajnie nowe pomysły batalistyczne — w rodzaju np. pomysłu Katerli, którego *deus ex machina* mieści się w pudełku od sardynek — no, to byłoby jeszcze pół biedy, ale skoro darzą nas klasycznym aparatem cekhauzów i musztry, wzorowanej na regulaminie austrjackim — niechże nikt się nie dziwi, że te czerwone sny wywołują u Irzykowskiego i wielu innych żółtawy śmiech.

Byłaby to względność zgoła niewczesna i niewłaściwa, gdybyśmy pominęli dziwaczne zboczenia i zygzaki tego kierunku, na którego czele stoją ludzie o gołębich sercach i mózgach dziecinnych.

Chrzęst broni i zgiełk wojenny, jaki nas ztamtąd dochodzi, przypomina nieco zabawę angielskich *boys scout*'ów, a teoretyczna osnowa kierunku daremnie sili się na przekonywającą powagę.

Jeśli *Prześwit* na str. 192 zaręcza, że „wojna jest dzisiaj najbardziej demokratycznym czynem, bo miljony całe udział w niej przyjmują (!)” to stosując nowy ten probierz do zjawisk pokrewnych łacno wykryć można, że cholera jest demokratyczniejszą chorobą od ospy, a już najwyższy stopień demokratyzmu osiąga dżuma, która niemniej od wojny miljony potrafi ogarniać.

Politycy frakcyjni, przebywając widać po tamtej stronie Styksu, zatracili wszelkie poczucie realizmu i otaczają się mitologiczną jakąś mgłą, która pozwala im śnić na jawie. Sen o rycerskiej szpadzie w następnej swej fazie przechodzi w marzenia o szlifach oficerskich; odtąd niejeden z tych somnambulików, chodząc, wsłuchuje się w brzęk domniemanych swych ostróg.

Nic też dziwnego. że Polska Partja Socjalistyczna, zamiast egzegezy marksowskiej, roztrząsa obecnie kwestje strategiczne i czyni „studja wojskowo — geograficzne”, z których wyłoni się zapewne marsowa jaka panorama *à la* Kossak, lub powieść *à la* Gąsiorowski.

W pewnym urzędowym wydawnictwie tego obozu, pośród wielu spostrzeżeń z dziedziny strategji, mieści się takie zdanie: „Ciosy i uderzenia jakie armja zadaje nieprzyjacielowi, mierzyć się dają jej *żywą siłą*”. Recenzent *Przedświtu*, zdobywszy się nareszcie na szczyptę ironji, dodaje:

„Można powinszować autorowi, że przez wynalezienie formuły matematyczaej do mierzenia zjawisk wojennych dźwignął wiedzę militarną i postawił ją w rzędzie nauk ścisłych.

Wprawdzie to tylko początek, ale miejmy nadzieję, że w bardzo krótkim czasie autor tak udoskonali i opracuje swoje odkrycie, że najbardziej skomplikowane zagadnienia taktyczne i strategiczne — potyczki, bitwy, boje i wojny — będziemy mogli na podstawie matematycznych formuł rozwiązywać ołówkiem na papierze. O ileż to ułatwi zdobycie niepodległości! „Ta zaś (żywa siła) załeży w pierwszym rzędzie od szybkości; sama zaś masa armji jest czynnikiem drugorzędnym. Przecież widoczną, na pierwszy rzut oka, jest rzeczą, że najliczniejsza armia, a zatym o wielkiej masie, natomiast zupełnie unierucho miona, a przeto o zerowej szybkości, zgoła bojowej wartości nie posiada. Nie posiada tej wartości dlatego, że jej żywa siła, wskutek zerowej szybkości, jest również, biorąc rzecz jeno teoretycznie — zerem”.

Czym większa zatym szybkość przy równej masie, tym większa wartość bojowa. Więc oczywista rzecz, że wartość bojowa człowieka konnego jest znacznie większą od wartości piechura, a wartość bojowa żołnierza cyklisty jest pięć lub sześć razy większą od wartości bojowej piechura. Posadźmy żołnierza na motocykl, który robi w godzinę 40 wiorst, a zwiększymy jego wartość bojową 10 razy. Wynik prosty z tego jest taki, że przeciwko kompanji 100 piechurów możemy bez żadnego ryzyka postawić 10 motocyklistów, a siły po obu stronach będą równe, a jeśli dodamy jeszcze jedenastego, to motocyklistom zapewnimy walne zwycięstwo. I dziwić się tylko należy wszystkim strategikom i rządom wszystkich państw i czasów, że nie wpadły na ten tak prosty, a „widoczny na pierwszy rzut oka” rachunek”.

Reasumując wszystkie wady rzeczonego dzieła, sprawozdawca dochodzi do wniosku że „nie jest ono pozbawione zalet”. Można i na to się zgodzić, tylko — co z tym ma wspólnego socjalizm? *Mystère*!

Zasłona Izydy.

B. minister sprawiedliwości p. Geza Polonyi w sejmie węgierskim wypowiedział kilka zdań krytycznych o masonerji; jednocześnie w Paryżu p. Emil Pataud, anarchista, przewodził antymasońskiej demonstracji; oba te fakty odbiły się głośnym echem na szpaltach naszej prasy.

Gazeta Warszawska pośpiesza stwierdzić, że „opinia nasza zbyt mało interesuje się życiem i działalnością masonerji i skłonna jest do niedoceniania roli tego stowarzyszenia w życiu społecznym i politycznym”.

Wspomniana rola — dowodzi dalej *Gazeta* na podstawie słów b. węgierskiego ministra—staje się ostatnimi czasy, od r. 1887—„wyraźnie antyreligijną, antypaństwową i antynarodową”, co powinno naszej opinii starczyć za wszelką informację.

Sądzimy ze swej strony, że lepiej, by ogół nie był wcale informowany, niż informowany jednostronnie i fałszywie.

Masonerja—jako całokształt pewnej idei i metody—nie była nigdy i nie jest antyreligijną, antypań-

stwową i antynarodową. Natomiast jest antyklerykalną, demokratyczną i patrjotyczno-humanitarną. Taką była u nas, w Polsce, w zaraniu zeszłego stulecia, za czasów rozkwitu i powodzenia, taką jest po dziś dzień wszędzie, gdzie wywiera wpływ na politykę i kulturę zupełnie odmienny od tego, jaki jej *Gazeta. W.* przypisuje. Nie może być antypaństwowym, antynarodowym i antyreligijnym stowarzyszenie, któremu patronują rodziny monarsze w Anglji, Niemczech, Szwecji, Norwegji i Danji... To chyba jasne. Nie może pełnić ono funkcji wywrotowych i burzycielskich w republikach, jak St Zjednoczone, Argentyna, Brazylja, Szwajcarja, gdzie należą doń najwyżsi dygnitarze państwowi i elita umysłowa wszystkich warstw społeczeństwa. We Francji—zkąd jakoby promieniować ma najskrajniejsza, niszczycielska i rewolucyjna odmiana wolnomularstwa, należą doń: obecny prezes rady ministrów i wiceprezes Senatu, prezes Izby posłów, wielu ministrów, senatorów i posłów—jakkolwiek bynajmniej nie większość, bo 10—12%—nadto wielu dostojników państwowych i osób wybitnych.

Opowieść o skrajnych tendencjach i burzycielskich metodach masonerji jest klechdą plebańską, podchwytywaną przez ograniczonych sylfów redakcyjnych, którzy u nas przewodzą t. zw. opinii klas oświeconych.

Rola masonerji w społeczeństwach demokratycznych, w krajach wolnych i praworządnych, jest nawskroś pozytywna i twórcza. Stowarzyszenie, które z dumą zwie się filantropijnym, uprawiając „przyjaźń ludzkości" w najszerszej skali—może być pomówione o niszczycielstwo t. j. mizantropję jedynie przez ignorantów, notorycznych wsteczników i klerykałów, którzy czują doń zawodową i zupełnie uprawnioną nienawiść. A ponieważ z tych trzech kategorji składa się miarodajna u nas opinja, przeto można przypuszczać, że poczciwa nasza publika i nadal słuchać będzie opowiadań „o masonach" w podobny sposób, jak trwożliwe dzieci słuchają sensacyjnych bajek o kominiarzach i wiedźmach.

Nie będziemy się w tej materji rozwodzić, nie mając do tego ani możności, ani chęci. Ale sprawa zasługuje bezsprzecznie na poważne i sumienne traktowanie. Wolnomularstwo, które tak silnie zaważyło w ostatnich stuleciach na wszechludzkiej szali—dotąd nie jest w naszym piśmiennictwie uwzględnione poza paszkwilem lub dorywczą monografią. I rzecz szczególna: nasi nacjonaliści, co przesadnym niekiedy kultem otaczają błahe nawet zabytki przeszłości, nie wiedzą nic o wolnomularstwie polskim, skojarzonym z najświetniejszą epoką naszych dziejów, plotą natomiast duby smalone wślad za pismami zakrystji na temat „rządów masońskich" zagranicą, gdzie zresztą wspomniane rządy szczęśliwy jakoś tworzą kontrast z tą rzeczywistością, jaka nas tu otacza. Nie wiadomo zaiste, co w większym stopniu wpływa na takie stanowisko naszej prasy: lenistwo myśli, czy też rutyna zachowawcza.

Góra i mysz.

Kiedy wślad za aktem „ugody" rydzyńskiej zerwała się w szerokich kołach społeczeństwa burza gniewu i goryczy, można było przypuszczać, że tym razem obaj nobliwi „ugodowcy" dotkliwie za tę czelną frymarkę odpokutują. Rozległy się głosy, żądające usunięcia hr. Antoniego Wodzickiego z krak. rady miejskiej i dymisji hr. Henryka Potockiego, członka rosyjskiej Rady Państwa i członka rady stronn. polityki realnej.

Tymczasem obaj ci panowie, znając widocznie swoich Pappenheimerów, zachowali olimpijski spokój; wiedzieli snadź, że skończy się na pogróżkach i krzyku. Jakoż arystokracja nasza zachowała poprawną i doskonałą obojętność wobec tak błahego wypadku, zaś miarodajna, konserwatywna i pobożna opinja kurjerków nazbyt żywi respekt dla „historycznych rodów" by im w czymkolwiek uchybić miała.

To też hr. Henryk Potocki nadal paraduje w komitecie stronn. Polityki realnej i zasiada pogodnie w czerwonych fotelach Rady Państwa, a hr. Antoni Wodzicki został ponownie wybrany do krakowskiej rady miejskiej, gdzie gorliwie domaga się zniesienia rzeczypospolitej portugalskiej.

Na tym się pono skończyło. Ale nie: po długim stękaniu góra „gniewu narodowego" wydała wreszcie na świat taką oto myszkę, którą w tych dniach schwytaliśmy na szpaltach *Gazety Warszawskiej*:

„Jak donoszą nam ze Lwowa, w krótkim czasie ma się tam ukazać *medal ołowiany*, mający na celu upamiętnienie zaprzepaszczenia Rydzyny. Medal ten na jednej stronie pomieści podobiznę zamku w Rydzynie, a na drugiej podobizny osobistości, które są w związku z tą sprawą, więc: ks. Antoniego Sułkowskiego, hr. Antoniego Wodzickiego, hr. Henryka Potockiego, posłów i adwokatów Dziembowskiego i Loewensteina. Medal będzie miał napis: „*Vendidit hic auro patriam, dominum potentem imposuit*". Wybity ma być w 300 egzemplarzach".

A więc zamiast spodziewanych i stokroć zasłużonych represji ze strony narodu spada na winowajców niecnej frymarki niewinny koncept kabaretowy.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Stron. Dem.-Narodowe dotąd zajmowało obojętne lub wrogie stanowisko względem kampanji wolnomyślnej, mającej na celu *odróżnianie narodowości od Kościoła i usamodzielnienie ludu wobec księży*. Napróżno dowodziliśmy, że nie jest to bynajmniej oderwany postulat jakiegoś antyklerykalizmu *à outrance*, lecz *najistotniejszy interes społeczeństwa*, który winien być przez patryjotyczną część kleru uznany dobrowolnie, a pozostałej części siłą narzucony.

I oto dziś, pod wpływem postępującej ciągle w Ks. Poznańskim *germanizacji przez Kościół* sama *Gazeta Warszawska* uderza w dzwon alarmu. Oto konkluzje *Gazety* — brzmią one, jak zapowiedź odwrótu z Canossy:

> Nic dziwnego, że wypowiada się w prasie polskiej żądanie, aby Polacy w Parlamencie i Sejmie razem z liberałami i socjalistami domagali się zupełnego rozdziału państwa od Kościoła. Wówczas państwo w sprawach takich jak nauka religji nie miałoby żadnego głosu. Ale jest to postulat radykalny, który bodaj czy kiedy da się przeprowadzić. Głównym i dziś już wykonalnym zadaniem jest, aby w lud wszczepić odróżnianie narodowości od Kościoła i usamodzielnić go wobec księży. To jest postulatem nie jakiegoś antyklerykalizmu, lecz najistotniejszego interesu społeczeństwa i dlatego uznaje go także patryjotyczna część duchowieństwa. Kto wie, jak długo u nas Kościołem, choćby tylko formalnie, rządzić będą polscy zwierzchnicy duchowni. W niedalekiej już może przyszłości doczekamy się arcybiskupa Niemca. Wówczas dzieło germanizacji przez Kościół w jeszcze szybszym pójdzie tempie niż dotąd. Jest to niebezpieczeństwo, z którym się liczyć należy poważnie i wobec którego akcję odporną już dziś na jaknajszerszą trzeba przeprowadzić skalę.

Uwagi *Gazety W.* uzupełnić należy wiadomością, że niebawem wytworzyć się może i w Rosji podobny jak w Niemczech stan rzeczy. Oto bowiem wieści o przygotowaniach do unji rzymsko-katolickiego kościoła z sektą

rosyjską starowierców, znajdują potwierdzenie w lwowskiej *Gazecie Kościelnej* (15). Powiedziano tam:

Z Petersburga nadchodzą bardzo pocieszające wiadomości, że między prymasem Kościoła katolickiego w Rosji, a biskupami tak zw. starowierców, owej sekty prawosławnej cerkwi, która wiarę chrześcijańską (!) dotychczas (!) bardzo ściśle zachowała i która zbliżona jest bardzo do Kościoła katolickiego, toczą się obecnie rokowania co do unji z Kościołem naszym. Byłby to przyrost dla Kościoła 10—12 miljonów dusz. Kilku wybitnych starowierców, między tymi dwóch ich biskupów, już uznało prymat papieski i zawrzeć miało unję z Rzymem. Sporadyczne konwersje biskupów i księży wraz z ich gminami, mają przygotować unję całej sekty ze Stolicą św.

Dla patryjotów rzymskich wiadomość ta jest „bardzo pocieszającą”, ale dla nas zwiastuje ona najście całego legjonu ks. Storożewów i wzmożone niebezpieczeństwo w tych zakątach kraju, gdzie czynnik wyznaniowy góruje nad narodowym...

* Gdy *Gazeta Warszawska* domaga się oddzielenia Kościoła od Państwa ...w Niemczech, jednocześnie klerykalny *Dziennik Powszechny* gorszy się nadmiernymi majątkami klasztorów... w Rosji, wglądając ze zdrożną ciekawością w pozycje dochodów kleru.

Niektóre z tych pozycji są rzeczywiście dosyć interesujące. I tak np., według referencji komisji budżetowej okazuje się, że najbogatsza z rosyjskich dyecezji niżnie-nowgorodzka, wydatkuje na pensję archijereską 13,600 rb. Ale oprócz tego archijerej pobiera dochody z posesji, należących do jego eparchji w Moskwie przy ul. Nikolskiej; dochody te wynoszą 300,000 rb. rocznie. Moskiewska eparchja idzie już w drugim rzędzie: metropolita pobiera rocznie 11,267 rb. Nie trudno mu jednak także związać końca z końcem, gdyż dodatkowo — według informacji "Rieczi"— przynosi mu Iwierska kaplica 45,000 rb., Sergiejewska ławra 25,000 rb.; Czudowski monaster 8,000 rb., przytym pobiera rządewą zapomogę w sumie 5,000 rb. i dyety za zasiadania w synodzie 3,000 rb. Podobnież rzecz się ma z dochodami klasztornymi: pozycje budżetowe wykazują np. dochód monasteru św. Tryfona na 9,827 rb., ale monaster posiada oprócz tego posesję, dającą 50,000 rb. dochodu. Ponieważ przytoczone przykłady nie są wyjątkowymi, przeto sumy dochodów duchownych muszą wytwarzać w całości swej cyfrę kolosalną. Łatwo sobie wyobrazić, jak wielkie korzyści, tak religijnej, jak filantropijnej natury może przynosić taka Kalifornia ludowi prawosławnemu przy umiejętnym i sumiennym rozporządzaniu dobrem cerkiewnym.

Chwali się bardzo *Dziennikowi* tak zacna troskliwość o dobro ludu prawosławnego, ale nam, postępowcom, nierównie bardziej leży na sercu dobro ludu polskiego i dlatego nie raz jeszcze wglądać będziemy w tajniki skarbców klasztornych Jasnej Góry i Kalwarji Zebrzydowskiej, gdzie znoszone z całego kraju krocie tysięcy rocznie kler czerpie bez kontroli i bez rachunku.

* Wdzięczne ma zadanie p. Teodor Jeske-Choiński, redaktor klerykalnej *Kroniki Powszechnej* we Lwowie; jak ongi rycerze kresowi strzegli granic Rzpltej od wrażych podjazdów, tak i dziś na rubieży podkarpackiej odpiera autor „Gasnącego słońca” niebezpieczne dla Polski ataki myśli nowoczesnej, od zgniłego idącej Zachodu.

Niekiedy jednak myli się p. Jeske-Choiński i zamiast kopją we wrogów, trafia palcem we własne oko.

Ten wypadek zdarzył mu się ostatnio, gdy zasiadł do pisania artykułu p. t. *Nowoczesny teatr szkołą przygotowawczą zepsucia* (*sic!*) gdzie, malując wybujały w świetle kinkietów erotyzm, takie czyni refleksje o nowoczesnym typie kobiecym w literaturze i sztuce:

Ale jakże wygląda ta „Julja“ ostatnich czasów? Według Ropsa i Strindberga i uczniów ich, rozrzuconych po całej Europie, jest kobieta „straszliwą, kosmiczną potęgą, która w mężczyźnie obudziła chuć, przykuła go podstępną a fałszywą pieszczotą i wszczepiła mu w krew jad szatańskiego bólu, — której mężczyzna nienawidzi, jak się nienawidzi strasznej, niszczącej siły, największego zła.

Gdyby autor przyjrzał się dokładnie tej definicji okiem nieuprzedzonym, dojrzał by w niej wyraźne ślady mizogynicznej nauki oo. Kościoła. Jakoż istotnie cytowana koncepcja Przybyszewskiego, Ropsa, Huysmans'a, Barbey'a d'Aurevilly i t. d. nie jest bynajmniej wyrazem nowoczesnych na miłość poglądów, ale raczej zmodernizowanym echem średniowiecznych kazań, w których ponura fantazja mnichów-pustelników wysiliła się na najczarniejsze względem kobiety-kusicielki barwy i wyolbrzymiła jej zakazany urok do szczytów jakiejś zgubnej, kosmicznej potęgi. Owo niezdrowe majaczenie anachoretów i fanatyków przeobraziło się z czasem w specjalny schyłkowy erotyzm pomienionych pisarzy i artystów szkoły neo-katolickiej i satanistycznej. Bowiem szatan i kobieta-sukkub, dwa główne pierwiastki zła — stanowią dorobek kościelnego sposobu myślenia, który drogą dość dziwnego atawizmu ujawnia się niekiedy w umysłach pseudo-nowoczesnych.

Właściwy zaś nowoczesny pogląd na kobietę-miłośnicę zbliża się raczej do słonecznej i pogodnej normy starohelleńskiej, odrzucając zarówno koncepcję „grzechu”, jak i histerję obłudy, i bynajmniej nie dramatyzując pierwiastków erotycznych w życiu i sztuce.

KRONIKA.

ADRES SEJMU FINLANDZKIEGO, zwrócony do Monarchy i traktujący o stanie politycznym kraju, przeszedł niemal bez wrażenia w zgiełku trwającego wciąż kryzysu. Oto ważniejsze ustępy tego orędzia:

„Nowoobrany sejm pojmuje, że najpierwszym obowiązkiem jego jest najpoddaniej uwiadomić Waszą Cesarską Mość, do jakiego stanu doprowadzono Finlandję przez nieposzanowanie jej konstytucji.

Obok własnego prawodawstwa, prawa zasadnicze narodu fińskiego przyznają mu prawo posiadania własnej administracji, wykonywanej przez swoje władze fińskie, własnego sądownictwa ze swojemi sądami fińskiemi i własnego zarządu skarbowego, przyczem służy reprezentacji prawo opodatkowania się i połączony z tem udział w układaniu budżetu, oraz prawo kontroli nad wydatkowaniem dochodów skarbu na pożytek i dobro kraju. Prawa zasadnicze poręczają zarazem każdemu obywatelowi fińskiemu nietykalność osobistą i majątkową i przyznają obywatelom prawo do wolności słowa i druku, zgromadzeń i związków. Te prawa zasadnicze mogą ulegać zmianie tylko w drodze, przez nie same wskazanej.

Tymczasem wszystkie te prawa prawo z d. 30-go czerwca 1910 r. czyni zależnemi od rosyjskiej władzy prawodawczej. Sporządzony w tej mierze wykaz obejmuje również sprawy, dotyczące wykształcenia publicznego oraz ważne sprawy ekonomiczne, a nadto przewiduje jeszcze możliwość ogarnięcia wszystkich innych spraw prawodawczych fińskich. W ten sposób, wbrew prawom zasadniczym Finlandji i służącej jej autonomji państwowej, danoby władzy państwowej Cesarstwa moc rozrządzania prawem Finlandji i zmieniania go według swoich zapatrywań.

Z okoliczności tej, jako też z samego charakteru owego prawa z d 30-go czerwca 1910 r. jasno wynika, że inicjatorowie jego pragnęli zapewnić sobie radykalny środek na unicestwienie konstytucji finlandzkiej. Celem ich oczywiście było, ażeby naród finski, który, przy połączeniu się z Rosją, otrzymał niewzruszalną rękojmię bytu narodowego pospołu z samodzielnością wewnętrzną — stał się ogołoconym z praw przedmiotem zarządzeń, które władza rosyjska, stosownie

do zmiennej polityki, może stosować według swojego widzi-mi-się.

Władzom i obywatelom finlandzkim postawiono teraz żądanie, aby przestrzegali i stosowali prawa, wydane z pogwałceniem konstytucji finlandzkiej na zasadzie prawa rosyjskiego z d. 30-go czerwca 1910 r., a tem samem, aby uchylali się od bezwarunkowo obowiązującej wszystkich powinności niezachwianego przestrzegania prawdziwych praw krajowych. Wymagają od nich, aby się stali wspólnikami w gwałceniu ustroju prawowitego i autonomji ich ojczyzny. Istnieje już zamiar oddawania przemocą do sądów i do więzień rosyjskich tych urzędników i obywateli, którzy będą przestrzegali prawa. Do najcelniejszych zadań władzy państwowej należy strzedz świętości prawa. Aliści tutaj, w Finlandji, gwałci się świętość prawa przez to, że władza państwowa usiłuje zniewolić do przestrzegania postanowień, nie posiadających mocy prawa obowiązującego. W Finlandji, tak samo, jak wszędzie, posłuszeństwo prawu jest uznawane za cnotę obywatelską. Teraz, kiedy rosyjska władza państwowa wdziera się w dziedzinę praw Finlandji, głoszą, że owa cnota zasługuje na karę. Zaledwie można wyobrazić sobie bardziej nienormalne położenie od wytworzonego w ten sposób.

Sejm, do którego obowiązków należy ochraniać prawa narodu fińskiego, nie mógł, milcząc, spoglądać na zgubne dla Finlandji zarządzenia, przedsięwzięte i nadal przesiębrane przez władzę państwową Cesarstwa. Sejm poczytał sobie za obowiązek wyłuszczyć Waszej Cesarskiej Mości pogląd prawny narodu fińskiei jawnie wypowiedzieć, że ów naród nie może wyrzec się swojego bezwarunkowego prawa do życia pod osłoną praw własnych, w ciągu stulecia uznawanych przez Monarchów rosyjskich. Naród fiński jest przeświadczony o słuszności swej sprawy. Ośmiela się on wierzyć, że w Cesarstwie zwycięży przekonanie, iż tylko polityka, oparta na prawie, może zapewnić moc węzłom jedności rosyjsko-finlandzkiej. Naród fiński ufa tedy, że nadejdzie czas, kiedy jego prawo uznane będzie i kiedy konstytucja krajowa przestrzegana będzie".

UNIWERSYTET RUSIŃSKI WE LWOWIE. *Morgenblatt* donosi, że cesarz Franciszek Józef przyzna niebawem odręcznem pismem cesarskim rusinom prawo do utworzenia osobnego uniwersytetu rusińskiego, a zarazem zapewni, że rząd poczyni niebawem kroki stosowne, aby to żądanie zostało rychło urzeczywistnionem.

Książki nadesłane do Redakcji:

Dr. H. Graetz: „Historja żydów" (mniejsza), z niemieckiego przełożył St. Szenhak, tom drugi, cz. 3. Warszawa, 1911, str, 557—804.

Jan Kasprowicz: „Wybór poezji". Warszawa, 1911, wydanie J. Mortkowicza, str. 114.

Marja Rodziewiczówna: „Atma", powieść, Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, 1911, 8-ka, str. 285. Cena rb. 1,30.

Józef Konczyński: „Stan moralny społeczeństwa polskiego na podstawie danych statystyki kryminalnej". Warszawa, 1911, „Cena rb. 1 kop. 30. Str. 190.

Wacław Grubiński: „O Klątwie Wyspiańskiego". Szkic analityczny, Warszawa, 1911, Str. 28.

Edward Słoński: „Wybór poezji". Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 360. Cena rb. 1 kop. 50.

Bogusław Adamowicz: „Tajemnica długiego i krótkiego życia". Nowele. 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 148. Cena rb. 1.

Stanisław Przybyszewski: „Zmierzch" — Synów Ziemi część trzecia i ostatnia. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1911, str. 304. Cena rb. 1 kop. 80.

S. Natansonówna: „Trójkąt Małżeński" — powieść. Warszawa, 1911. Księgarnia Jana Fiszera, str. 205.

Julja Kreczyńska: „Luciferus", poemat odznaczony na konkursie poetyckim „Sfinksa". Warszawa, 1910, str. 42.

Samson Szyldberg: „Pieśni samotności". Warszawa, 1911, str. 160.

Dr. Horald Höffding, profesor uniwersytetu Kopenhaskiego: „Psychologja" w zarysie na podstawie doświadczenia. Przekład Adama Mahrburga z czwartego wydania niemieckiego według wielostronnie zmienionego piątego wydania duńskiego oryginału. Nakładem Henryka Lindenfelda 1911, str. 540.

Cezary Jallenta: „Druid Juljusz Słowacki" Brody—Lwów. Nakładem księgarni Feliksa Westa Str. 22. Rok 1911.

Jerzy Kurnatowski: „Robotnicze związki zawodowe". Praktyka i teorja. Warszawa, 1911, str. 220.

Jerzy Kurnatowski: „Kooperatywa i kooperatyzm". Warszawa, 1911, str. 42.

Bohowityn: „Kobieta z przeszłością", powieść, 1911. Nakł. Gebethnera i Wolfa, str. 336.

Edwad Słoński: „Partja", romans rewolucyjny. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp. 1911, 8-ka, str. 316. Cena rb. 1,50.

Archibald Geikie, profesor mineralogji i geologji w uniw. edynburskim. „Geologia", tłómaczył z angielskiego prof. Karol Jurkiewicz, wydanie czwarte, przejrzane i uzupełnione przez Z. Weyberga, z 41 rysunkami w tekście, Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i S-ka, 1911, 8-ka. X + 172. Cena kop. 50.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Prenumeratorowi z Radomia. Piśmiennictwo polskie, niestety, nie posiada naukowo opracowanej historji włościan i prawodawstwa, dotyczącego włościan w Polsce. Istnieją nieliczne monografje i prace, noszące charakter materjałów raczej, niż opracowań naukowych.

Polecić możemy dla XVIII wieku:

T. Korzon: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta".

Dla XIX wieku:

1) Wł. Grabski: „Historja Towarzystwa rolniczego". Warszawa, 1904. cena rb. 3 za 2 tomy. W pierwszym tomie tej pracy poświęconej sprawie włościańskiej, znajdzie Sz. Pan bogatą bibljografję kwestji włościańskiej w XIX wieku.

2) Stanisław Lubicz: „Sprawa włościańska w Polsce porozbiorowej", Kraków, 1909. rb. 1 kop. 60. (kierunek nar. dem.)

3) H. Konic: „Samorząd gminny w Król Polskim", w porównaniu z innymi krajami europejskimi". Wyd. 2. 1906. str. 298. Cena rb. 1 kop. 50.

4) „Główne wyjątki z ustawy Samorządu Gminnego". Wydał F. R. Warsz. 1904. Cena 10 kop.

5) Okolski: „Wykład prawa administracyjnego" 1881—1884.

6) Skrjabin M: „Sistematiczeskij sbornik uzakonienij i rasporażenij po ziemielnomu ustrojstwu krestjan w gub. Carstwa Polskawo". 1896. Cena rb 4.

7) „Sbornik uzakonienij i prawitielstwiennych rasporażenij po krestjanskomu dielu w gub. Carstwa Polskawo". t. I, 1874 r. str. 751.

W powyższych pracach znajdzie Sz. Pan wskazówki do dalszych studjów.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca **Józef Jabłoński.** Redaktor **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.